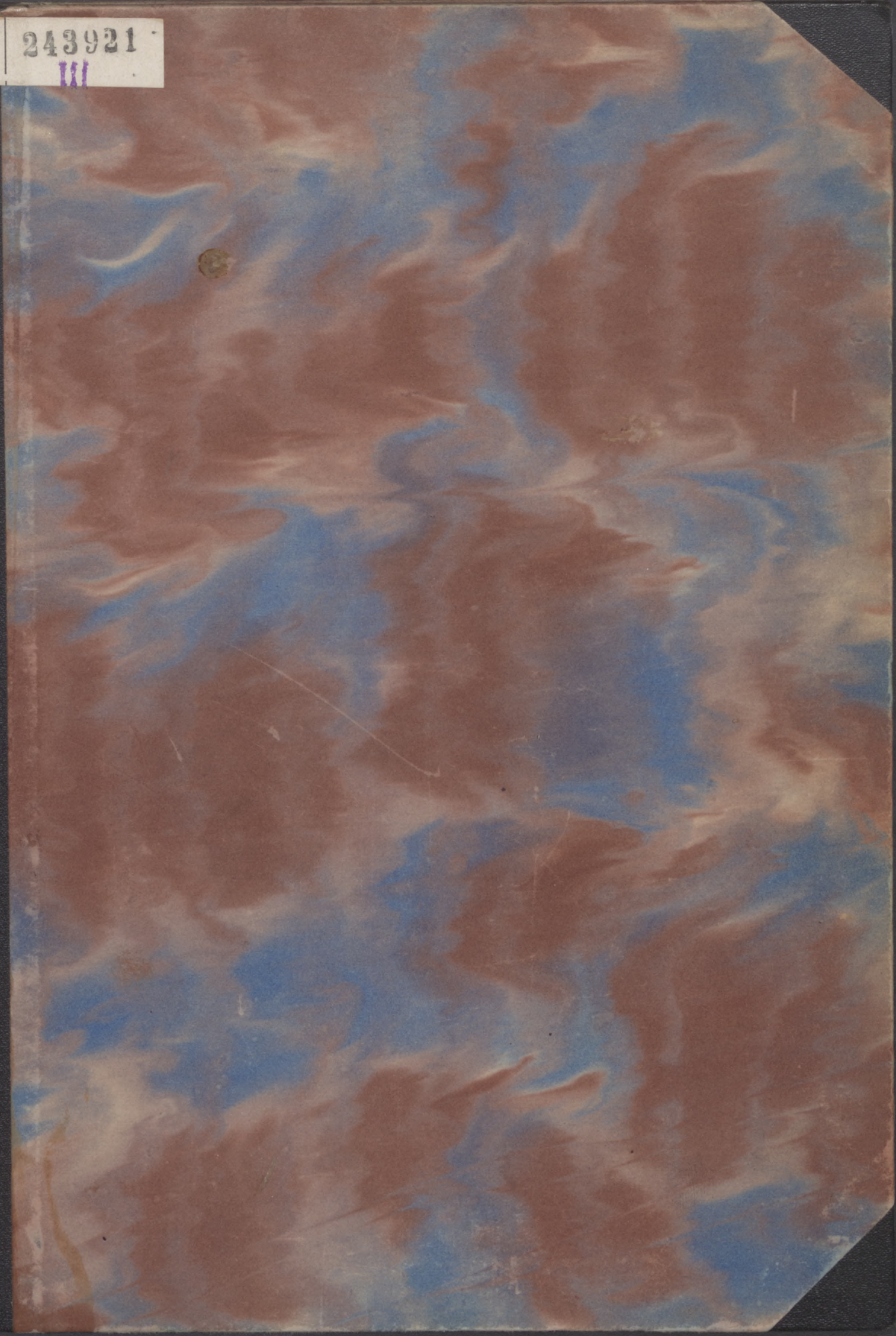


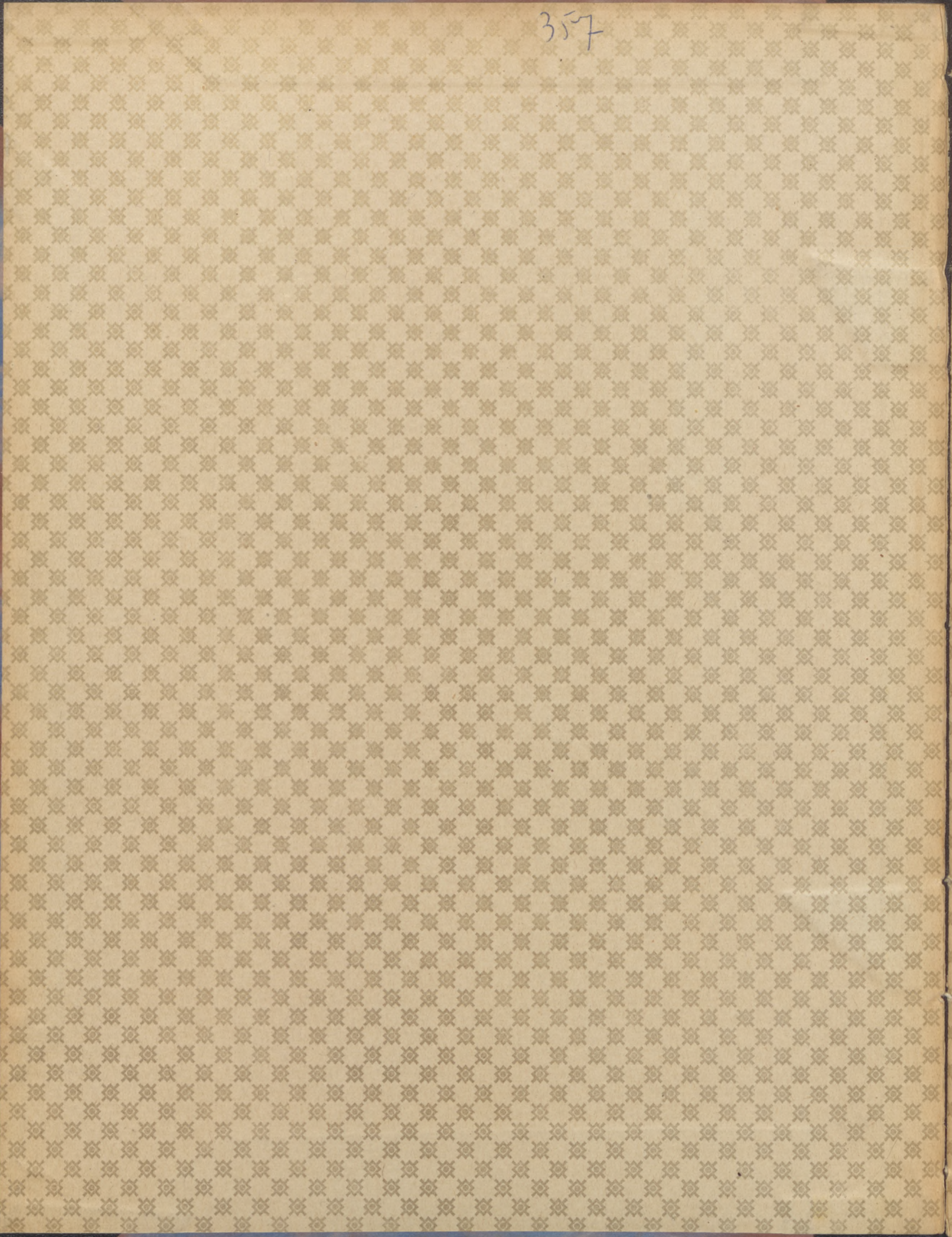
Biblioteka
U. M. K.
Toruń

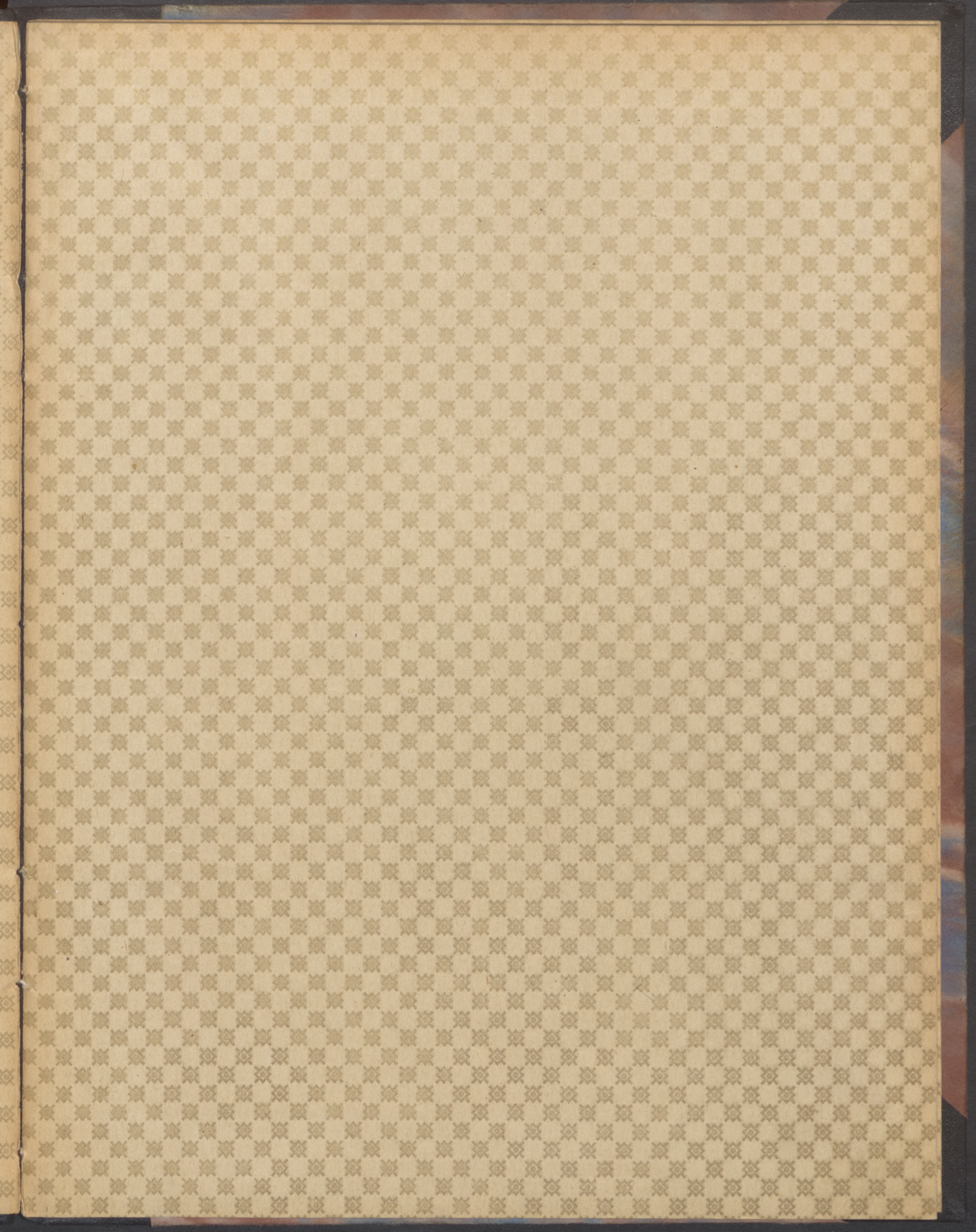
243921

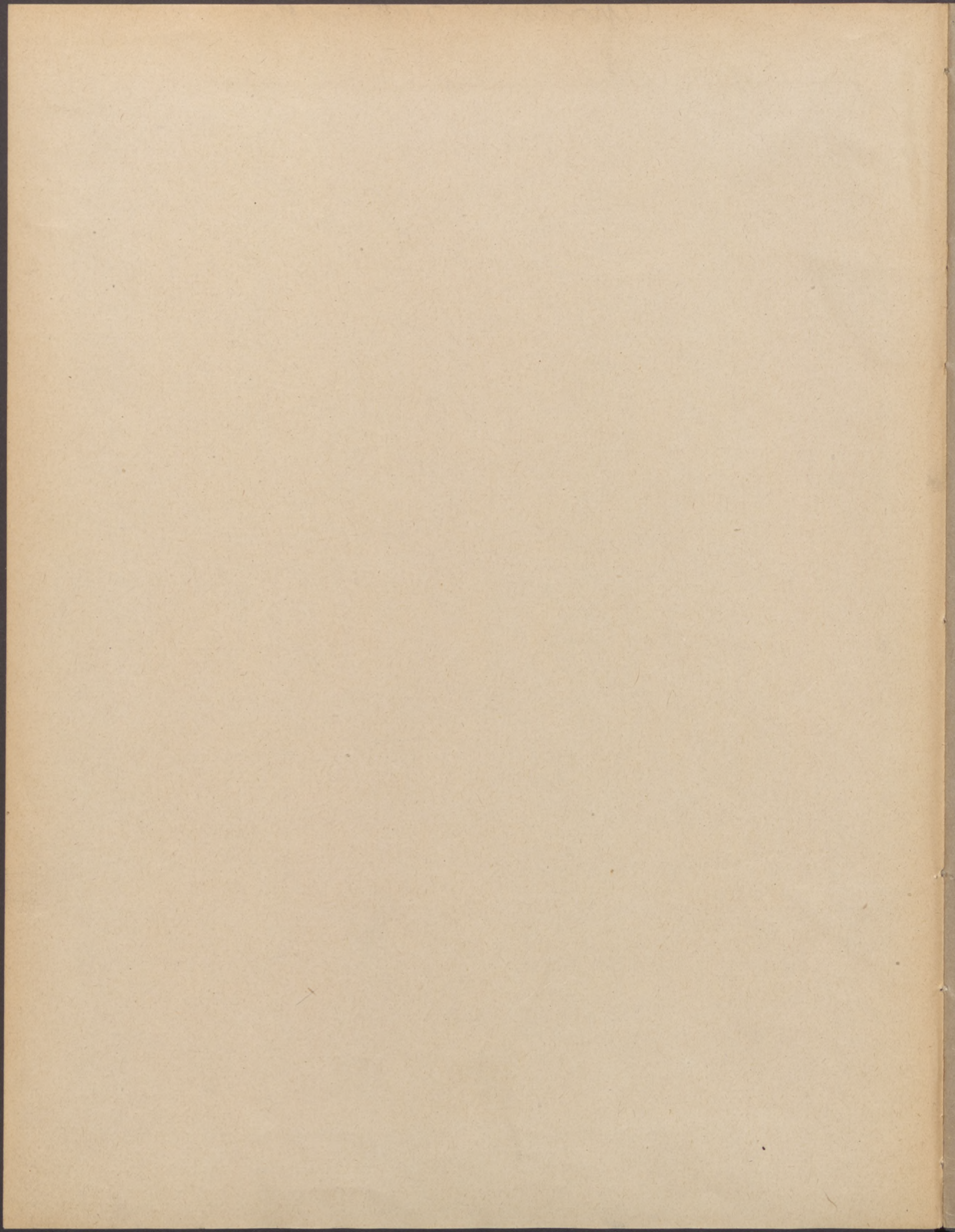
III



357









**ECHO FILOMATA
TOW**

JEDNODNIÓWKA •

WYDANA • PRZEZ • KOŁO • FILO •
MATÓW • PRZY • GIMN • KLASYCZNYM •
W • BYDGO/ZCZY • W • 10 • ROCZN •
PAN/TWA • POLSKIEGO • R • 1928 •



„LEKTOR“

ulica Gdańska nr. 141 — Telefon nr. 17-39

Wypożyczalnia książek.
Księgarnia (dział polski i zagraniczny).
Czasopisma polskie i zagraniczne.
Materiały i przybory piśmienne i szkolne.

Najkorzystniej
kupujesz artykuły szkolne i książki
w firmie

F. Kiedrowskiego Następcy
ulica Długa nr. 49

Książnica Samokształcenia

ul. Kordeckiego 1a, Filja: ul. Śniadeckich 39

Książki nowe i używane.
Źródło dla czyteln i bibliotek.

KSIĘGARNIA LUDOWA

ULICA BATOREGO № 4

poleca wszelkie książki szkolne i artykuły piśmienne.



*Wielki wybór skrzypiec, mandolin, gitar, lutni etc.
własnego i zagranicznego wyrobu poleca firma*

STANISŁAW NIEWCZYK

Skład i pracownia instrumentów muzycznych
BYDGOSZCZ, ulica Gdańska nr. 147

*Zaznaczam, że posiadam dwa oddziały: smyczkowy i dęty, w których
zatrudniam tylko specjalistów, co daje gwarancję fachowej obsługi.*

Miecz. Dereżyński.

ECHO FILOMATÓW

JEDNODNIÓWKA WYDANA PRZEZ KOŁO FILOMATÓW PRZY GIMNAZJUM
KLASYCZNYM w BYDGOSZCZY w X. ROCZNICĘ PAŃSTWA POLSKIEGO R. 1928

Treść numeru: My — młodzi! — Jerzy Klimczyk. W świat! — Emil Płoszczański. W dziesięciolecie. — Antoni Szwarzenzer. Zapomniany poeta. — Mieczysław Dereżyński. Burza na morzu. — Stanisław Gwiazdowski. Napoleon a Polska. — Antoni Szwarzenzer. Królowa Korony Polskiej. — Emil Płoszczański. Polskie morze. — Kazimierz Łakota. Opuść nam nasze winy... — Antoni Szwarzenzer. Obrazowość ballad Mickiewicza. — Mieczysław Dereżyński. Oda Horacjusza. — Antoni Szwarzenzer. Towiański i jego poglądy. — Eugenjusz Golus.

Znakomici synowie Wielkopolski. — Miled. Szary dzień sztubaka. — E. N. G. Wleczę się jesień. — Mieczysław Dereżyński. Moja przejażdżka tramwajem. — Mieczysław Dereżyński. Historia magistra vitae. — Historyk. Sen o morzu. — Kazimierz Łakota. Nad Brdą wieczorem. — Mieczysław Dereżyński. Samolot. — Stefan Zawadzki. Kilka słów o rozwoju matematyki. — Jan Żmudziński. Pieśń. — Antoni Szwarzenzer. List do przyjaciela. — Zez. A jednak... — Kazika. Nasze Koło.

My — młodzi!

W długim okresie niewoli naszej Ojczyzny zrywały się pokolenia za pokoleniami do walki o wolność — i ginęły, wierne hasłu: „Dla Ciebie, Polsko!”

A gdy wybiła od dawna oczekiwana godzina Wielkiej Wojny, zamigotały znowu skry na ostrzach bagnatów polskich żołnierzy.

Poszli na ostatni bój ze śpiewem na ustach, z sercem, pełnym zapału, za wolność Ojczyzny.

By zginąć lub zwyciężyć!

Ziścił się sen o wolności.

Sen o potędze!

Poszli młodzi, tacy, jak my i wywalczyli ją — Niepodległą!

A my?

Nie możemy być słabsi od nich.

Cóż damy Jej teraz my nowi — rycerze?

Pracą uczcijmy i utrwalmy Jej byt.

Czuwajmy na posterunku!

Bo kto tchórzem jest na polu pracy, ten wart pogardy!

Kto zaś swe życie w szarym przepędzi mżole i cząstkę swego ja odda wszystkim braciom, ten z dumą czystą, jak ci, co padli na Jej rubieży, zda raport przyszłym pokoleniom, przyszłej Polsce.

Jerzy Klimczyk.



W świat!

Idź, pracy nasza, w świat!

Niech iść się sen naszych ideałów!

Dziesięć lat wolności i pierwsza próba naszych trudów, naszych usiłowań. Dajemy utwory z naszych przeżyć i myśli, poto, by społeczeństwo je przeczytało i oceniło, a raczej poznało nas bliżej i — ukochało.

Były czasy niewoli, hamujące rozwój ducha narodowego i kultury narodowej. Czyhano na ojców naszych na każdym kroku, aby zniszczyć w nich zapal dla sprawy narodu. Zacerwieniły się szlaki sybirskie, więzienia, szubienice krwią skazanych Polaków, umierających z uśmiechem nadziei w zmartwychwstanie Polski. Swoje tchnienia czynu i miłości Ojczyzny przekazali nam, młodym.

Nie doczekali się wolnej Polski. Nie było im dane ujrzeć świtu.

Wolna Polska! Czyż to możliwe? Na dźwięk tego słowa zapłakaliby z radości przodkowie nasi! Skądże jednak wiemy, że nie słyszą oni radosnych dzwónów bicia? I oni radują się z nami, radością większą, bo wolną Polską, to ich gmach, zbudowany na ich kościach, zlepiony ich krwią, a opromieniony sławą ich czynów i poświęceń. Nie na marne poszły ich wysiłki. Z owoców ich trudów i mąk my korzystamy.

Nie wolno nam zmarnować tak ciężko zapracowanej spuścizny. Nie możemy zniszczyć tego, co wyrosło na ich prochach. Przekleństwo tych bohaterów walk o wolność ścigałoby nas do grobu, a synów naszych od kolebki. Duch zwycięzców owych, poległych z cichym westchnieniem za Polskę, z pod Olszynki Grochowskiej, Ostrołki, Wawru, Dębu, Wielkich Łuków i Rarańczy, nakazuje nam zachować w piersi tchnienie patriotyzmu. Niewinne duszyczki poległych w obronie naszych rubieży dzieci, skarżyłyby się wiecznie na nas, gdybyśmy nie szanowali tego, za co krew przelewały i oddawały swe młode życie. A przecież one miały prawo do życia, jak i my je mamy, nie zawahały się jednak złożyć go na ołtarzu Ojczyzny.

Czyżbyśmy to wszystko zmarnować mieli i nie uszanować?!

Przenigdy! Nie zginie w nas to, co było dla Was świętością.

Uszanujemy Waszą relikwię, otoczmy ją miłością, jakbyście i Wy to uczynili. Z dumnym czołem idziemy po Waszej myśli i z pewnością siebie staniemy przed Waszym obliczem, skoro nas Bóg do Siebie powoła. Z odwagą powiemy:



243 921

— Oto niesiemy Wam dzierżawę z Waszego dziedzictwa. Byliśmy rządcami dobrymi, odpowie za nas plon zebrany.

Obecnie, praca nasza nie jest ofiarą krwi i życia ludzkiego. Nie żąda od nas Polska poświęceń nadzwyczajnych, ani trudów tytanicznych. Możemy pracować spokojnie, nie pożerani tęsknotą za wolnością, bo mamy ją w całej jej krasie. Polska żąda dla siebie tylko poświęcenia zdolności i rozumu. Nie w gnuśności przebywać mamy, lecz w zbożnej pracy, przy warsztacie ojczystym.

Komu wiele dano, od tego wiele żądać będą. Jeśli nam, młodym, dano sposobność uczenia się w polskiej szkole tego co drogie, w świetnych warunkach, musimy oddać Tej, która nam to wszystko dała, z nawiązką. Tą dobrodziejką jest Ojczyzna, dla niej więc wszystko poświęcić musimy. Z myślą o Niej życie nasze powinno się skojarzyć, bo Jej szczęście, naszym szczęściem.

Z myślą więc o Polsce wydajemy tę Jedno-dniówkę, aby służyła za dowód naszej pracy. Pomieściliśmy w niej nasze wzniosłe uczucia religijne i patriotyczne, nasze umiłowania i ideały, nasze referaty, zdobyte drobiazgowymi badaniami. Chcemy powiedzieć tym, którzy czytać nasze utwory będą, że żyjemy pełną piersią, korzystając z darów obywatelskich.

Idzie do Was od Filomatów z klasycznego gimnazjum Echo. Niech się w duszach Waszych odbije odzwaniem sympatji dla nas, dla naszych trudów i dla naszej mrówczej pracy. Możemy śmiało powiedzieć, iż w pracach naszych mieści się część duszy naszej. Przyjmijcie tę Jedno-dniówkę przychylnie i pomyślcie o nas, bo my, z myślą o Polsce i Jej przyszłości, pisaliśmy wszystkie te drobiazgi.

Emil Płoszczański.



W dziesięciolecie.

Był grób, posepny, cichy,
A sterczał na nim krzyż
I kamień leżał lity
Z napisem: „Idźmy w wyż!”

A wewnątrz serca jeno były,
Krzepiły się na trud i znój,
Gorącym żarem się zatliły,
By z silnym duchem iść na bój.

Pękł głaz kryjący plemię
Wolności żądne znów,
Pękł, bo wichur wstrząsnął ziemię,
W proch rzucił krocie głów.

I naród wyszedł z swej mogiły
Na wolność śnioną i na byt;
Powagi pełen, blasku, siły,
Zapatrzon w nowy, cudny świat,
Co się wynurzał z mroków,
Spływa na obszar pól,
Rozrywał rdzawy oków,
Łagodził wszędy ból.
Świat spływał na wygony,
Na szary chatek dach,
Na ludzi znojne plony,
Skąpane w rosy łzach.
Świat spływa jasną falą,
Z za lasów, rzek i gór,
Powstawał hen — za dalą
I rąbkiem białych chmur.
Świat wstawał zmartwychwstały
Głoszący jawny cud
I cichy szept pochwalny
Za sobą długo wiódł.

A Naród patrzył w oną zorzę,
Co się na niebie rozsnuwała,
Niby wszechbarwne blasków morze,
Tęczą kolorów jasnych drgała.
Lecz straszna ciemnych chmur nawała,
Wnet przestroniła wzeszłe słońce
I krajem burza zatargała,
Śląc swe pioruny, swoje gońce.
Zmagał się Naród we krwi całej,
Kładł się pokotem u rubieży,
Z poległych tworzył długie wały —
I brat nie wiedział, gdzie brat leży. —
Związał się naród w krwawym boju
Na nowo w jeden nierozdzielny
Posąg, ulany z krwi i znoju,
Na bojuwisku nieśmiertelnem.

Kiedy ucichnął oręża szcęk,
Umilkły działa na polach,
I ustał wreszcie rozpaczny jęk
Wraz z myślą o tych niedolach,
To się zaczęła budowa,
Co trwa li po dziś dzień,
Boć gmach trza wzmocnić od nowa,
Bez marzeń i bez snień.

Do ręki wziąć trza oskardy,
Fundament wzmocniać, hej!
I granit spajać twardy,
Ojczyźnie służąc swej!

Dziesięć lat pracy minęło,
Jeszcze roboty huk!
Kończmy zaczęte dzieło,
Tak nam dopomóż Bóg!

Antoni Szwarzenzer.



Zapomniany poeta.

W literaturze dziś już go się nie wymienia. Dzieła jego stały się rzadkościami bibliograficznymi. Styl jego poważny, aczkolwiek trudny do zrozumienia, żywy, choć rwie się niekiedy wątek. Sniałe, przenośnie, wzniosłe myśli, panegiryzm, świat mitologiczny, sarkazm, tkliwość, zapal, żal, łagodność i wiejska prostota, ukochanie Polski, modlitwa żarliwa, dydaktyzm, apologia Kościoła i Króla, egotyzm, sielankowość, poruszenie kwestyj politycznych, społecznych — oto, co się złożyło na jego twórczość, która mu słusznie przyniosła miano poety czasu.

Zaniedbano go, zarzucono, a spuściznę jego owionął mrok niepamięci. Nazywał się **Kasper Miaskowski**, herbu Leliwa. Światło dzienne ujrzał w Smogorzewie pod Gostyniem w 1549 r., umarł 1622 roku, a pochowano go w kościele w Wielkim Strzelcu.

Życie jego — to ustawiczne biedowanie. Ojciec biedny szlachcic, nie mógł dać synowi odpowiedniego wykształcenia. Ukończył Miaskowski szkołę klasztorną, a możliwie i akademją Lubrańskiego. Zagranicą nie był, zato dużo podróżował po Polsce. Poezje pisać zaczął we wsi Włoszczonowie pod Kutnem, którą to wieś wziął w dzierżawę. Lata w Włoszczonowie należą do najszcześniejszych w życiu poety.

Po śmierci brata, Macieja, przeniósł się do Smogorzewa, by tu, na ojcowiznie, gospodarzyć. Pojął za żonę Zofję Szczodrowską, kobietę piękną, lecz chorowitą. Nie był poeta szczęśliwy, widząc ukochaną żonę chorą, niezdolną do pracy, a ład domowy począł się rozprzęgać. Obdarzyła go chłopcem, lecz mały Jaś zmarł wkrótce, a po nim zchorzała, nieszczęśliwa matka.

Ból poety nie miał granic. Z poddaniem się jednak przyjmował ciosy.

Nieszczęścia spadały nań niezliczone. Czuł się osamotnionym po śmierci ojca, matki, żony, syna, siostry, synowca oraz kilku przyjaciół, których zabierała grasująca zaraza. Sposępniał pod wpływem udręk i niepowodzeń życiowych. Nadomiar wmieszano go w sprawę majątkową, posądzono o krzywdzielswo dzieci zmarłego brata, pozywano przed sąd, gdzie musiał się oczyszczać. Prosta, szczerą duszą nie była skłonna do podłości, nieznajomość jedynie prawa, naiwne-szczere intencje dobrego przedsięwzięcia i niepowodzenie uczyniły z niego przedmiot obmowy i oszczerstwa. Tłumił poeta w sobie bunt, nie wołał, że krzywdzą go, nie gromił, lecz w prochu korzył się przed Bogiem, uznając wielkość swych przewinień:

„Zmiłuj się Boże nademną, bo Twoje
Niewyczerpione miłosierdzia zdroje!
A jaśmś hojną każdemu swobodą,
Omyj też brud mój w świętej łaźni wodą.”

„Czy mię wyrzucisz z pocztu Twego Panie?
I próżne będzie do Ciebie me łkanie?
Próżno pięść moja nagie piersi bije,
Próżno lży język wołający pije.”

Kocha poeta Matkę Boską i do Niej, jako prawdziwy szlachcic polski woła o wstawiennictwo:

„Wołaj za grzesznym człowiekiem do Syna,
Że mię i dźwignie i stawi na suszy,
I sam omyje brud z plugawej duszy!
A gdy śmierć mego wrzcioną doprzędzie,
A dzmyśły staną zatrwożone w rzędzie,
Kiedy poniosę na sąd własne sprawy,
Niech mi nie niknie w sercu on pień krwawy,
Który gdy dzierżąc, upadnę przy Tronie,
Ty też wyciągnij obie za mną dłonie.”

Uznaje wszechmoc Stwórcy, a przeciwstawia jej swą niedoleżność:

„Kędyż się skryję przed gniewem Twym Panie?
Gdzie mię sroga kaźń Twoja nie zastanie?
Coli ja przed on wieczny Tron poniosę,
Gdy mię stąd zżenie śmierć jako wiatr rosę?

Lecz nietylko za siebie zanosi poeta modły do Boga. Nietylko żali się na swoją niedolę i niemoc, lecz wierzy w Miłość Boską i prosi o opiekę nad Polską:

„Lecz gniew zadzierży miłosierdzie Twoje
Z którego płyną zawždy hojne zdroje
I wejrzyś jeszcze z zwykłej Twej miłości
Na Polskie włości.”

Poeta błaga o powszechny pokój na ziemi:

„Przywiedz do milej (prosimy Cię) zgody;
Niech jako przedtym powszechne narody
Jednem chwałą Boga usty Ciebie
Na świetnym niebie.”

Najważniejszą cechą twórczości Miaskowskiego to — motyw religijny. Poeta przepojony jest miłością ku Bogu, miłością nieogarniętą, wielką, a szczerą i prostą i dlatego czytać powinien go ten, kto chce nauczyć się gorąco miłować Boga, kto chce pogłębić wiarę swoją. Czytać powinien go ten, kto chciałby czerpać ze źródła pięknego języka, nigdzie indziej nie spotykanego.

Najstarszym utworem Miaskowskiego jest: „Łódź Opaleńska.” Ukazała się w 1608 roku w Kaliszu.

W 1612 roku wyszedł w Krakowie: „Zbiór Rytmów przez Kaspra Miaskowskiego spisany.” Zawiera on z górą dwadzieścia utworów. Najważniejsze z nich to: elegje pokutne „Na paszkwil przeciw Królowi Jego Mości” i „Tryumf Karola Chodkiewicza.”

Drugie wydanie „Rytmów” ukazało się w Poznaniu w 1622 roku. Dołączył do nich autor kilka nowych utworów, a między innymi: „Do Symona Szymonowicza.”

Trzecie, ostatnie wydanie „Rytmów” wyszło w 1855 roku. Nakładem „Księgarni Jana Żupańskiego” w Poznaniu. Są to dwa tomy o 375

stronach. Doskonale wstępem zaopatrzył je Dr. Jan Rymarkiewicz. I odjął głucho o Miaskowskim. Zabierał się do niego Sienkiewicz w latach młodości, lecz pracy swej nie opublikował. Pisali o nim z konieczności króciutkie uwagi krytycy literaccy, niekiedy wcale niepoehlebne.

Słusznie powiedział Kraszewski: „Niemożliwa rzecz, jak mało dotąd u nas znany, jak mało ceniony jest Miaskowski, którego jednak współczesni umieli cenić. Herbert przeniósł nad Kochanowskiego i Reja, co niemało powiedzieć.”

— — — — —
Spi snem wiecznym poeta wielkopolskiej ziemi. Echo jego pieśni błąka się jeszcze po ziemi onej, na której nie znalazł szczęścia, jeno przykrości i niedoli. Niekiedy tliwością i ponurą żalnością przepelniona zwrotka ozwie się z zdziwionych, zakłopotanych ust, a w serce myśl wzniosła się wkradnie. Z tablicy grobowej wyzierają za życia w wielkim smutku skreślone wiersze własnego nagrobka:

„Kasper Miaskowski, co miał śmiertelnego,
W tym zawarł grobie, aż do dnia onego,
Gdy głuche ciała trąba budzić będzie,
A ogniem z nieba splonie ziemia wszędzie,
Ale co dowcip dał mu był niepodły,
Słowiańskim bluszczem Muzy to dowiodły.”

Mieczysław Dereżyński.

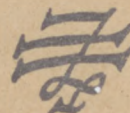


Burza na morzu.

Jak chciwe sępy zbiegły się chmur kręgi,
na wód bezmiary kładą ciemne pręgi
i bój śmiertelny stoczywszy ze słońcem,
jasnej pogody i wesela gońcem,
rozpanoszyły się mroczne, ponure — —
wlepiwszy w morze oczy swoje bure,
głoszą mu burzę, a statkom rozbicie
i grozą: walka na śmierć albo życie!
Już na fal grzbiecie pióropusz wytryska,
strojne w baranki zjawiają się szczyty,
famią się fale, wiry i koliska
o linję brzegów — szaniec niezdożył!
Tak przestwór morza w tańcu się kofysze,
wszystko się pieni i swawolą dysze,
lecz takt wciąż szybszy, gwałtowniejsze płąsy:
to Nereidy wszczęły zwykłe dąsy,
bo pan ich, Neptun, pokrzywdził je srodze,
więc swej naturze popuściwszy wodze,
w wodnych przestrzeniach rozpoczęły harce,
burząc porządek w morskiej gospodarce.

Biorą do ręki olbrzymie wachlarze:
wiatr zawył, świsnął; rozwinawszy skrzydła,
wzmógł swoje siły niebezpieczne, wraże,
pomknął nad wodą z uśmiechem strasznydła,
dopał do łodzi, dążących do brzegu,
by w nie uderzyć siłą swego biegu:
Zgięły się drzewa nadbrzeżnego lasku.
Cicho, spokojnie, nie słysząc tu wrzasku,
bo ptasi insyngt przepowiedział burzę;
skryły się wszystkie, i małe i duże.
Gdzież kaczki wodne i gęsi i kurki,
gdzież srebrnopióre i ruchliwe nurki,
gdzież mew powabnych sylwetki nad wodą,
co żywot cały jedynie tam wiodą?!
Wszystko, co żyje, dążąc do schronienia,
tam swą znalazło deskę ocalenia.
Grzmot głuchy jął się przewalać po chmurach...
Jak stosy beczek, złożone na furach,
biją się w biegu, wciąż skaczą, ruszają
i głos podobny ze siebie wydają,
tak Jówisz z bujnym (znak potęgi) włosem
przez gniew stłumionym odezwał się głosem,
co brzmi w powietrzu jako zew tytana,
co bije w chmury jako groźba głucha,
a fala morska już rozkofysana
skacze ku niebu i strwożona słucha.
Gniew jowiszowy zabłysnął na niebie
i błyskawicą ciemność jego grzebie,
chmury ozłaca czerwonym płomieniem,
widnokrąg swoim otacza ramieniem.
Ledwo powstała, zaraz szybko znika,
a tylko grzmotów i fal brzmi muzyka,
trwa nieprzerwanie i wciąż potężnieje.
Już z chmur ulewa jako potop leje,
błysło, gro n huknął i dążąc zygzakiem,
zapadł w odmęty zakrzywionym hakiem,
a głos odbity stokrotnie przez chmury,
bzmiał z góry na dół i z dołu do góry.
Lunęło znowu, grzmot się w chmurach toczy,
na kształt jastrzębia bije piorun w brzegi,
noc zwraca na świat swoje czarne oczy,
wiatr w górze harce wyprawia i biegi,
niebo rozdziera częsta błyskawica,
skłębione chmury kryją niebios lica.
Spieniona fala szturmuje wybrzeża
z szumem i rykiem drapieżnego zwierza,
cofa się, walczy i znowu naciera,
gdy siły straci, zaraz nowe zbiera.
Gdy tak się szarpia i gryzą żywioły,
grzmot nieco cichnie, piorun bić przestaje,
burza swe moce traci napoty
i na pobliskie przerzuca się kraje.
Wiatr wnet ucicha, tylko deszcz wciąż leje;
wkrótce zmieniają się znowu koleje,
bo i deszcz cichnie, tylko morze w ruchu,
jak wściekły brytan na grubym łańcuchu.

St. Gwiazdowski.



Napoleon a Polska.

Urodził się w tym czasie, kiedy na tron wstępował słaby chwiejny król. A kolumny tronowej sali nadwątłone były przez wojny pradziada i rozpusztę dziada.

Na wschód od tegoż państwa, w tym samym prawie czasie, na małą głowę nowęgo króla za wielką była Chrobrych i Sobieskich korona.

Wychowały Go nowe idee wolności i równości braterskiej, upokorzenia ze strony francuskich kolegów i właśnie korsykańskich rewolucjonistów. A On wzrastał i patrzył okiem orła na nowe fale życia narodów. Z twardego korsarza wykuwał się niby wnuk kondotjerów włoskich, a potem znowu mistyczny potomek wielkich Cezarów Romy.

Idealiści, żyrondyści i jakobini poszli za monarchistami na rusztowanie, pod nóż. Po wielkich try unach rewolucji zostało pięciu marnych dyrektorów i On.

Lud, wielki i mocny, swoją wiarą łamał niewolnicze zastępy wymusztrowanych Prusaków, a tam na wschodzie, za judaszowe srebrniki podłej Carycy, zaprzędawali targowiccy zbrodniarze i grodzieńskiego sejmu deputowani Ojczyznę swą w niewolę, na poniewierkę, na hańbę...

Porwał się białopióry ptak do lotu, zadusił w gnieździe swoim parę piśkląt wyrodných, zwrócił szpony na wrogów.

Zapóźnie...

Twarda stopa trzech najeźdźców przyciskała świeży grób.

Pod Tulonem i Arcole, pod Abukirem i piramidami zrodziła się w nim żelazna moc woli. Snać w ciszy afrykańskiej pustyni rozmówił się z Duchem świata i poznał dłaczego jest stworzon.

W cudnej ziemi euzuńskiej, podczas pierwszej włoskiej kampanji, możeć przy b.wakowym ognisku i przy serdecznej gawędzie, zapoznał się ony Wódz z dziwnymi ludźmi. Smutne a tęskne wspomnienia, gorące nadzieje i wiara były wieczorną pieśnią ich życia. W bój szli ochotnie, a walczyli jak lwy. Hej, spojrział ci On po nich, poznał od razu i zapalił w nich miłość ku sobie. Związali się tedy z nim ci ludzie na zawsze: na trud i znój.

A wierzyli przecie, że kiedyś ich tam do Ojczyzny zaprowadzi, da im tę wolność i ten łan ojczysty.

A wiódł ci On ich, a wiódł.

Szli za nim i te twarde chłopcy, grenadjery wąsate, i te panicze szlacheckie, szwoleżery i ułany kraśne.

Hej, szli!

Przez San Domingo!

Przez Jenę i Frydland aż do tej ziemicy kochanej.

Choć srawek małuczki im dał, ale dał.

Nie mógł więcej dać, bo tak wymagało dobro jego, bo tak chciał. A Jego „ja” było wielkie, gdyż pochłonoło w siebie całą rewolucję, kolosalne, potworne, przemocne „ja”.

Znał ich, fanatycznych wielbicieli wolności, nienawidzących tyranów, miłujących Ojczyznę ponad zbawienie własnej duszy.

Tego uczucia on nie znał.

Kochać Ojczyznę aż do zaślepienia, nad życie, jak ci zdradzieccy Pirenejczycy? Ha — dziwnie to mu było.

Ale odczuł to na własnej skórze.

Wiedział bóg-wojny, że naród tak miłujący wolność nie będzie mu uległy, boć on sam cesarską koroną swoje skronie przyozdobił i płaszcz szkarłatny wdział na ramiona.

Wiedział, gdyż nie cały naród szedł z nim. Stare pokolenie chowało między sobą członków królewskiego rodu, na którego tronie On zasiadł. Łudził ich tedy obietnicami, niszczył kraj pobieraniem danin w ludziach i pieniądzech.

Dla dobra narodu dawali ostatni grosz, ostatnią szkapinę ze stajni, ostatnią kroplę krwi.

Z pod Moskwy szli ostatni.

Pod Lipskiem wszystkie splęcili dług.

Ale On ci tak ich okręcił, iż Ojczyznę zapomnieli, poniektórzy Boga, a widzieli jeno ten szary mundur gwardji, kapelusz trzyrożny i bladą twarz Cesarza.

Na Elbie czuwali.

Na hazard poszli po nowe laury.

Zdobyli je w ostatniej szarzy pod Waterloo, w ostatnim czworoboku śmierci za Niego, za Wodza, za Cesarza.

A. Szwarczenzer.



Królowa Korony Polskiej.

Nie będzie zarozumiałością narodową, jeśli powiem, że Najświętsza Panna miała w szczególnej Swej opiece naród polski od zarania jego istnienia. Od samych czasów zamierzchłych Piasta, gdy to dwaj aniołowie zeszli z Jej rozkazu na ziemię, aby nawiedzić dom biednego kmiotka, protoplasty królów, zapisanych złotemi literami w dziejach naszego narodu, opiekowała się Polakami.

Od tego czasu spływają za sprawą Jej, opiekunki wszystkich ludzi, łaski na naród polski i hojnie syją się dary jej szcudrośliwości.

Ukochała ona szczególnie poetów polskich. Zamieszkała w ich wrażliwym na piękno sercu; opromieniła swym jasnym, świctlanym spokojem wieszczów naszych, była natchnieniem ich talentu, pisali o Niej najcudniejsze wiersze, które służą dzisiaj za przykład piękna i głębi treści; dała im sławę u potomnych. A oni dla Niej daliby ostatnią kroplę krwi i ostatnie tchnienie,

bo umiłowała Ją całą duszą, bo zrosła się z nimi. Ona, świetlana Pani, Najświętsza ze świętych, Matka Tego, który jest dla każdego brylantem serca niezniszczalnym, zbratała się i żyła z poetami, synami tej naszej ziemi piastowej.

Umiłowała Ona wojsko polskie. Prowadziła je na zwycięstwa przeciwko chytrym i wrogim Niemcom. Błogosławiła uśmiechem zastępom polskim idących na Krzyżaków podłych, którzy nosili Jej imię, bezczeszcząc jego świętość. Starła tę hydrę piekielną pod Grunwaldem ramieniem Polaków i Litwinów. Walczyła przeciw pogańskim Tatarom, niszczącym kraj i mordującym ludzi. Ramionami Żółkiewskich, Chodkiewiczów, Czarnieckich zmiażdżyła mocą Swą Bożą Turków, niosących zagładę stokroć gorszą niż zguba ludzi, bo wiarę półksiężycą, Moskali fałszywych i heretyckich Szwedów. Ona to sprawiła cud Jasnogórski, który przełamał zwątpienie, wlał otuchę w serca Polaków, iż mogli chwycić za broń i odeprzeć nawałę szwedzką.

Ona uchroniła kraj przed zalewem rozpusty za Sasów, przywołując do upamiętania Polaków. Lecz Syn, zagniewany na bezceństwa Polaków, zesłał ku ich ukaraniu zaborców, którzy rozebrali we trzech nieszczęsną Polskę. Zalkała Matka Chrystusowa. Toż i ona bardzo cierpiała. Jak ongi za Synem pierworodzonym i najumilowańszym, tak teraz za Polską przeniknęły Jej serce miecze boleści. Cierpiała Najświętsza Panna, boć Ona tak tych Polaków kochała, tak ich ochraniała i broniła.

Błagała Święta Pani Swego Syna, aby raczył odwrócić ten krzyż od Polski, lecz Syn Boży powiedział: „Matko, nie czas jeszcze na mnie.” I Jemu było żal umęczonej Polski.

Wyjednała u Syna dla Polaków, iż nie stracili nadziei odzyskania Ojczyzny i mieli w sobie hart ducha, by wytrwać do końca.

Aż błysła jutrzienka wolności. To Marji Panie błysła w oku łza radości, iż powstaje Wolna Polska, Jej ukochana córka, zmartwychwstała na chwałę Imienia Boskiego.

I teraz nie opuściła Polski Marja: z nią walczyła nad Wisłą, błagając u Swego Syna cudu. Uczynił Syn Boży zadość prośbie Matki: sprawił cud. Zginął wróg, w popłochu popędził w swoje dzikie krainy, niosąc postrach imienia polskiego.

A naród Polski kocha swą Opiekunkę całym sercem, całą duszą, całym jestestwem swoim. Miłuje swego dobroczyńcę: na każdym miejscu i o każdej porze wiełbi Imię Marji.

Od zarania swych dziejów Polacy chwalą Jej wielkość; z westchnieniem do Niej kładą się spać, z westchnieniem budzą się ze snu. Obraz Jej mają wyryty na piersiach w postaci ryngrafu, a ryngraf ten zasłania ich przed mieczem nieprzyjacielskim. Ale co ważniejsza, obraz Jej noszą w sercu swoim, głęboko wyryty, który może zginąć chyba z serca wyrwaniem.

Polak do bitwy szedł z pieśnią „Bogu Rodzica” na ustach, chwając tem imię Najświętszej

Panienki. Dla Niej i o Niej powstały najpiękniejsze perły malarstwa. Z Jej natchnienia i dla Niej wykonywali mistrze swe arcydzieła, przed którymi chylimy kornie czoła, jako przed wytworem ludzkiego geniuszu.

Wielbiono Jej dobroć w całej ziemi polskiej. Dla obrony Jej imienia Polak gotów był ponieść śmierć. Znani byli z tego Polacy, iż nie pozwalali krzywdzić Bożej Rodzicielki, krwią nieraz pieczętując wierność swą dla Niej: Polak był „*unus defensor Mariae*.” Do końca swego życia wymawiali Jej imię i z tem imieniem na ustach umierali cicho, spokojnie. A dusze ich płynęły w dal, ku niebu, do Mistrzynie, do Matki, na której łonie mieli marzyć o Ojczyźnie i stać wiernie w Jej służbie.

Polska była sterana długoletnimi walkami, gdy cały kraj był zalany przez wrogów, gdy prawowity monarcha na wygnaniu, naród zaś podzielony na dwa obozy: zdrajców i wiernych synów Ojczyzny, jedna, jedyna twierdza — co mówię — nie twierdza, to klasztor, „kurnik,” bronił się siłą nie z tego świata. Garstka szlachty, garstka zakonników, walczyła przeciwko falandze najezdników z nadludzkiem wysiłkiem. Skąd brali siłę? To Najświętsza Panna kzepiła i dawała im siłę. Ona pokierowała obroną tak, iż potężny najezdnik zmuszony został do cofnięcia się, zwyciężony przez zakonników. Najświętsza Panna dała zwycięstwo Polakom, bo pokładali w Niej ufność dziecięcia. Wierzyli, iż tylko z Jej pomocą uwolnią kraj od najezdnika. W kilka miesięcy potem wróg opuścił ziemię polską, a prawowity król powrócił na swój tron.

Przepeliło się serce Polaków i króla wdzięcznością za tyle dowodów miłości ze strony Matki Boskiej. Rozdzwoniły się dzwony Lwowa, a odpowiedziały im inne w kraju całym, ogłaszając całej ziemi Piastów, Jagiellonów Matkę Bożą Królową Korony Polskiej. Przed Jej Majestatem ukorzył się w prochu pomazaniec Boży, a za nim cały naród, płacząc łzami wdzięczności.

Maj, cudny miesiąc, najpiękniejszy ze wszystkich, noszący w sobie pełny zapach wiosny i łąk rozkwieconych, poświęcono Marji. W kościołkach wiejskich, czy w katedrach wspaniałych rozbrzmiewa pieśń wielka, pieśń chwały Jej istnienia. Korzy się i poleca Marji chłopiec w skromnej sukmanie i pan bogaty; prostak, nie umiejący złożyć dwu liter i mędrzec; staruszek o poradlo-nem czole i młodzieniec pełen życia i waru: wszyscy chwalą tą samą pieśnią Świętą Maryję. A Ona każdemu uśmiecha się jednakowo do-brotliwie, łaskawie, przygarnia wszystkich do serca jednakowo czule, pieści i głaszcze, boć Ona kocha wszystkie Swe dzieci. Ona, Matka Najświętsza i Najlepsza, Królowa Korony Polskiej.

Emil Płoszczański.



Polskie morze niegdyś a dziś.

Rolnicza przeważnie Polska nigdy nie doceniała należycie morza. Choć przyznać trzeba, że niektóre jednostki dużo pracy poświęcały rozwojowi marynarki polskiej. Więc i ona miała okresy swojej świetności, związanej zresztą ściśle z wewnętrznym rozkwitem i potęgą Polski.

Złotemi głoskami w rozwoju floty wojennej zapisał się Zygmunt III, który własnym kosztem wystawił 9 okrętów. Młoda flotylla otrzymała wkrótce krwawy chrzest w walce z okrętami szwedzkimi pod Gdańskiem, nad którymi odniosła świetne zwycięstwo w roku 1627. Została jednak doszczętnie zniszczona przez flotę duńsko-szwedzką, gdy ją Zygmunt III posłał w pomoc cesarzowi Ferdynandowi II. Następca Zygmunta Władysław IV, również bardzo gorliwie zajmował się marynarką. Odbudował flotę polską i na jej obronę zbudował na helskich wyspach dwa zamki, Władysławowo i Kaźmierzowo. W tym czasie marynarka polska wzniosła się najwyżej. Gęsto na wybrzeżu rozsiane były porty: Puck, Gdańsk, Królewiec, Ryga, Rewal i inne. Liczne okręty wywoziły zboże, drzewo i inne produkty zagranicę. Jednakże ze śmiercią Władysława IV znikła i potęga polska na morzu. Rozbicie wewnętrzne, długoletnie wojny i sam brak zainteresowania w tym kierunku, dokonały ostatecznego upadku marynarki.

Dzisiaj, przyznać trzeba, że docenia się już wartość własnego wybrzeża. Polska odrodzona otrzymała skrawek morza, z maleńkim portem Puckiem i kilkoma wsiami rybackimi. I oto z olbrzymim nakładem kosztów i sił buduje się polski port w Gdyni, który ma odpowiadać 30-tu milionowemu państwu, żeby zupełnie się uniezależnić od niemieckiego nam Gdańska. Port polski rośnie z dnia na dzień, a również i flota wzrasta stale. Naród rozumie dzisiaj dobrze, że potęga handlowa Polski musi się opierać na morzu. Marynarka wojenna liczy kilkanaście jednostek poważniejszych bojowych. W szkołach marynarskich szkolą się oficerowie, a piękny trzymasztowiec szkolny „Lwów” przygotowuje dzielnych marynarzy. Cztery luksusowe, piękne okręty pasażerskie obsługują wybrzeże, wyparłszy parostatki gdańskie. W Pucku znajduje się port marynarki lotniczej. Codziennie kilkadziesiąt hydroplanów pruje fale morskie i powietrze, przygotowując się do obrony wybrzeża.

Pozatem mamy nad polskim morzem kilkanaście wsi rybackich. Kilka tysięcy Kaszubów, połączonych w tak zwane „maszoperje,” zajmuje się rybołówstwem. Rząd pruski umyślnie zaniebijał osady rybackie polskie. Dlatego też rybacy często nie mają nawet najpotrzebniejszych narzędzi do połowu. Wobec tego, rybołówstwo polskie nie może konkurować z zagranicą, złaszcza,

że Bałtyk posiada zaledwie kilkanaście gatunków ryb jadalnych: łosoś, flądra, węgorz, oto najważniejsze. Rząd polski zaopiekował się rybakami, stworzywszy dla nich Morski Urząd Rybacki, znajdujący się obecnie w Gdyni. Z jego ramienia pracują na wybrzeżu instruktorzy rybacy. Rybacy łącząc się we wspomniane wyżej „maszoperje,” wybierają na kierownika swych połowów najdoświadczonego z pomiędzy siebie tak zwanego „szypra.” Jest on niejako kapitanem wypraw rybackich i wszyscy mu podlegają. Oddziały takie składają się z kilku do kilkunastu ludzi. Najważniejsze porty rybackie to Hel, Jastarnia i Puck.

Przezyste morskie powietrze ściąga na wybrzeże rokrocznie tłumy letników, którzy tu przyjeżdżają na kilkutygodniowy wypoczynek. Najwięcej letników ściąga Gdynia, a raczej Kamienna Góra, na której wybudowano specjalnie na ten cel, kilkadziesiąt pięknych pensjonatów. Jednakże z powodu budującego się tu portu, kąpielisko będzie musiało się nieco przesunąć na wschód, do Orłowa. Również bardzo uczęszczane są Hel, Jastarnia, najdalej na zachód wysunięta Karwia, Jastrzębia góra i u nasady Helu Wielka Wieś. Puck, z powodu niedostępności do morza, nie ściąga większej liczby letników, zaopatruje natomiast całe wybrzeże w prowiant i jest ogniskiem handlu na zachodnim wybrzeżu.

Letnicy przyjeżdżając nad wybrzeże morskie, nie tylko wypoczywają, lecz widząc rozbudowującą się marynarkę polską, nabierają przekonania, że sła Polski, to jej potęga na morzu.

K. Łakota.



Odpuść nam nasze winy.

Na margines'e obrazu Męciny-Krzesa.

*Cela więzienna ciemna, ponura,
Szary wypełza z niej mrok.
Wleczę się smutek po wilgnych murach,
Łęk ku mnie zwraca swój krok.*

*Na ławce siedzi skuty w kajdany,
Ten, co za chwilę przestanie żyć,
Teraz brzemieniem grzechów złamany,
Płacze, bo życia kończy się nic.*

*Głowa schylona, wsparta na rękach,
W sercu coś płacze i bólem łka.
Życie mu może przeszło w udrękach,
Ale wciąż jeszcze swój powab ma.*

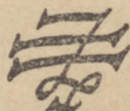
*Przed tym skazańcem spowiednik stoi
I cicho szepcze: „Ten ogrom win
Odpuść mu Panie, boć on się boi
Wieczystej kary za zły swój czyn.”*

*A Chrystus smutny w kącie przystanął
I serce dobre pokazał Swe,
Popatrzył twarzą łzami zalaną,
Krzyż kreśląc ręką, rzekł: „Popraw się.”*

*Smutnie spogląda, bo wie co będzie:
Za oknem celi — O zgrozo! Cóż?
Tak, to okrutne kary narzędzie,
Tam szubienica, gotowa już.*

*Skazaniec skruszon, a Chrystus smutny,
Boć On przebaczył, a ludzie — nie.
On Wszechpotężny, a nie okrutny,
Pragnie dobrocią zgnieść czyny złe.*

Antoni Szwarczenzer.



Obrazowość ballad Mickiewicza.

Piękno wyrazić może rzeźbiarz, malarz, literat. Dłutem, pędzlem, piórem odtwarza się obrazy piękne, bajkowe, cenne. Zależnie od ręki, która narzędzie sztuki dzierży, twór jest mniej lub więcej udatny. Malować, rysować, szkicować, rzeźbić, ciosać i ryc można — piórem.

Może to i czyni król poetów polskich, Adam Mickiewicz. W jego balladach — zda się utworach nierzeczywistych, prawie fantastycznych — podziwiać można przepiękne obrazy życia. Świat nierzeczywisty obraca się w rzeczywisty. Obrazy ballad — długie (czasowo), malowane z dokładnością, mieniące się barwami rozmaitych odcieni. Obrazy ballad krótkie, szkicowe, zakreślone jakby od niechcenia. Kilka kresek wystarczy, rzuca się przedzej w oczy.

W mieście są tylko kobiety i dzieci, a wróg u bram. Strach przejmuje je przed hańbą. Kotłuje się w uliczkach. W oczach wszystkich widnieje konanie, przestrasz, ból. Duch ludzki rwie się i szamoce, nie pragnie nikt śmierci. Budzi się niepewność... szal... zamęt... Obraz staje się namazany, niewyraźny dla oka, pełno w nim kresek, plam, linii nieregularnych. W tej gmatwaninie jedną osobę wyraźniej widać, inne słabiej. Patrząc na obraz ten, nakreślony z potężnym rozmachem i przemawiający błyskawiczną szybkością uczuć i wrażeń, traci człek głowę, nie może podążyć ze mistrzem. Opisać go dokładnie, z wszelkimi odcieniami motywów, z subtelnością wrażeń, niewykonalną jest rzeczą. Pełno tu niskich, przyziemnych odruchów, wybija się zwal szaleńczej rozpacz, widnieje chęć zgnębionego ratunku, płynie rzeka gwałtownego wyładowania sił, piętrzą się góry, kryte śniegiem nieskalanej czystości, cuchnie bagno brudami jestestwa ziemskiego. Z chmur spływa promień słońca Opatrzności Bożej. Zaiste, piękny sposób malowania!

Oto inny obraz. Las, rzeczka, cerkiew, omen-tarz — widok, jaki odsłania poeta ciekawym oczom. Czarno tu i ciemno... Wzrok niepewny biega po płótnie. Nie wiadomo, gdzie się obrócić. Wszędy czuć zgniliznę, panuje martwota, Wzdryga się widz — obraz taki ponury... Czarne plamy, postrzępione i podarte, napawają strachem. Niekażdy chciałby widzieć obraz taki w rzeczywistości. Wystarczy popatrzeć z daleka, by rzec, że daje on złudzenie rzadkiej prawdy.

Dwie spotykają się siły: ludzka i djabełska. Rozpoczyna się walka. Djabeł pewny zwycięstwa. Lecz osłatni warunek, który spełnić musi, zręcznie go pokonywa. Każdy wie, że chodzi o balladę — „Pani Twardowska.” Tło jest rzeczą obojętną, drugorzędną, uderzającą wybitnie charakteru, chciwe, sprytnie, przebiegłe. Osoby obie napozór grzeczne układne (dla erudyty sztuczne); przybierają maskę obludy, która uwydatnia się mocniej lub słabiej. Potraktował je autor groteskowo, komicznie; głębiej jednak, jeżeli nie tragizm, to bodaj pozytywizm ducha się kryje. Trudno zaprawdę odmalować zmiany fizyczne, jakie dokonywują się pod wpływem zmiennych i szybkich łodźców duchowych. Trudniej jeszcze wyrozumieć je. Szereg tych migawkowych i błyskawicznych obrazów musiał malować artysta „Odrodzenia”, znający dokładnie tajniki ducha. Dał zaś, uwzględniając wszystkie ballady, z ich pięknem krajobrazów, epizodów życia codziennego, życia nadprzyrodzonego, wyczelonych postaci, głęboko przemyślanych, przemawiających prosto z serca, dał obrazowy album, który nie posiada końca.

Piękne są obrazy ballad Mickiewicza. Znać umiejętność władania piórem. Lecz jak się ktoś patrzy na malowidło (ramy, płótno, farby!) taki wydaje sąd. Jeżeli kogoś zabójstwo („Czaty”) pobudza do śmiechu, to i wrażenie jego na piękno musi być dziwaczne. Każdy ocenia i pojmuję piękno na swój sposób. Człowiek uczuciowy i wrażliwy powie, że trudno wchłonąć artyzm i cudowność obrazów Mickiewicza, bo nie starczy nato czasu.

Miled.



Oda Horacjusza.

Exegi monumentum...

*Stworzyłem dzieło trwalsze od spiżu
I od piramid spowitych w pleśń,
Którego deszcze, wiatr, czas nie zniżą,
Bo szereg wieków przetrwa ma pieśń.*

*Nie umrę cały. Większa część moja
Uniknie śmierci i będę rósł
W chwale, dpóki dziewice w strojach,
Nasz kapłan będzie na zamek wiódł.*

*A będą o mnie mówić, gdzie szumi
Apulski, hyży Aupid bez wód
I dzikie ludy postrachem tłumi.
Gdy one cieszą się z moich ód.*

*Potężnym stałem się ja z niskiego,
Ponieważ pierwszy do rzymskich miar
Użyłem wiersza eolijskiego
I taki pieśniom nadałem czar.*

*Poezji Muzo! Bądź dumną przecie,
Żem się zasłużył tak w służbie twej,
Niech dłoń twa wieńcem skroń mi splecie.
O który Feba poprosić chcej.*

Antoni Szwarczenzer.



Towiański i jego poglądy,

Adam Mickiewicz w czasie uczty, wydanej na jego cześć w grudniu 1850 roku miał wizję przyścia sługi Bożego, który zawita na wózku z Litwy i przywita go w imię Boga. Wiele też mówi się o wpływie tego męża opatrnościowego na wieszczę naszego, ale mało kto wie o jego życiu i pagładzie na świat.

Tym właśnie sługą jest Mistrz Andrzej Towiański, urodzony 2 stycznia 1793 roku w Antoszwiniću, niedaleko Wilna. W młodym wieku stracił wzrok, co pogłębiło jego naturę i tak już skłonny do rozmyślań o Bogu i wszechświecie. Po kilku latach przewidział i wtedy zaczął chodzić do szkoły. Jednakowoż sprawy szkolne nie bardzo go zajmowały, wolał zagłębiać się w dociekaniach religijnych, czytając prawdopodobnie różnych mistyków i filozofów: wpływ ich bowiem uwidacznia się w późniejszych jego poglądach. Ukończywszy uniwersytet wileński, poświęcił się karierze sędziowskiej. Na stanowisku tem gorliwie, wprost z namaszczeniem, wypełniał swe obowiązki. W końcu porzucił zawód sędziego i osiadł na wsi, gdzie, żyjąc samotnie, jeszcze bardziej pogłębił swój umysł kontemplacyjny. Tu zaskoczyło go powstanie listopadowe. Udziału w niem nie brał z duchowych zupełnie pobudek: twierdził mianowicie, że utrata wolności politycznej Polski jest słuszną karą za jej grzechy. Nie znaczy to, jakoby Towiański nie kochał Ojczyzny. Owszem, po upadku powstania wyjechał do Petersburga, by płynąć na rząd rosyjski. Nie wskórawszy jednak nic, udał się do Czech — na kurację poniekąd — gdzie zapoznał się z generałem Skrzyneckim. W 1837 roku powrócił do rodzinnego majątku i po śmierci ojca objął zarząd. Natychmiast zaczął wprowadzać w życie swe teorie, chcąc stworzyć gminę idealną. Przedewszystkiem zniósł pańszczyznę, a miłością i ludzkim obchodzeniem się pozyskał serca swych poddanych chłopów i wpływał na nich tak dalece, że w dołrach jego znikło pijaństwo.

Lecz w końcu doszedł do wniosku, że powinien ideę swą rzucić w świat. W tym celu opuścił na zawsze rodzinne swe kraje i wyjechał na zachód. Zatrzymał się przez pewien czas w Poznaniu, gdzie ks. arcybiskup Dunin, któremu Towiański po części przedstawił swe poglądy, pobłogosławił go na drogę głoszenia prawdy. Spotkawszy w Brukseli Skrzyneckiego, pozyskał go chwilowo dla swego celu. Gdy jednak podał mu w styczniu dzieło swe p. t. „Biesiada,” które zawiera szkielec jego zapatrywań, Skrzynecki, zauważywszy w niem błędy, zerwał z Towiańskim. Autor „Biesiady,” zwiedziwszy pola klęsk Napoleona, przybył ostatecznie do Paryża w maju 1861 roku. A już w połowie tegoż roku przyciągnął do siebie Goreckiego, Sobiańskiego i wielu innych, a zwłaszcza Mickiewicza, któremu wyjawiał jakieś tajemnice, nikomu — według zapewnienia poety — nieznanne, a ponadto wyleczył mu żonę z choroby nerwowej. Odtąd datuje się silny wzrost wyznawców Towiańskiego, który 27 września 1861 roku w Notre Dame poraz pierwszy wystąpił publicznie. Kazanie tego cywilnego „kapłana” wywarło nadzwyczaj silne wrażenie na zebranych. Atoli nie długo bawił ten „sługa Boży” w Paryżu. 18 sierpnia 1842 musiał z rozkazu rządu opuścić granice Francji za to, że głosił bonapartyzm. Napoleona uważał Towiański za pierwszego zwiastuna nowej ery. Po wyjeździe z Paryża udał się Mistrz Andrzej do Rzymu, chcąc pozyskać papieża Grzegorza XII. Nie dopuszczono go jednak do audjencji, a nadto i tu musiał wyjechać w 25 godzinach z granic państwa. Nie zrażony niepowodzeniami, ufny w swoją sprawę, przebywał w Szwajcjarji do roku 1848. Gdy zaś we Francji rewolucja zmusiła Ludwika Filipa do ucieczki, Towiański w maju tego roku zjawił się w Paryżu, gdzie został aresztowany. Dopiero za sprawą Mickiewicza uwolniono go. Wtedy osiadł na stałe w Zurychu, gdzie dokonał żywota, opatrzony sakramentami św. 13 maja 1878.

Tak przedstawia się w krótkości życie tego cywilnego „kapłana”, który z całym zaparciem się siebie głosił światu swe zasady, nawołując do polepszania i powiększania dusz i wprowadzał je w czyn. Oto garść poglądów jego na świat:

Istnieją duchy jasne i ciemne — dobre i złe, które, otaczając ziemię, wznoszą się ku Bogu kolumnami, na których wierzchołku jest Bóg jako Duch Najdoskonalszy. Po Nim następują duchy już mniej doskonałe itd. aż wreszcie u dolnego końca tej drabiny znajdują się na mocy „prawa gatunkowego” duchy najniższe, złe, które, zalegając ziemię, rządzą nią podług swej natury, t. j. złe. Duchy święte nie opuszczają ziemi tak długo, dopóki nie odplacą się Bogu za swe wyniesienie. A uczynić to mogą przez rozszerzenie na globie ziemskim miłości ku Bogu. Po dokonaniu tego, wznoszą się wyżej. Jedyne Chrystus nie opuszcza zupełnie ziemi „jako nasza obrona, jako Ojciec i źródło wszelkiej światłości dla ziemi przez Boga opuszczonej.”

Całą ludzkość zaś, przeszłą i przyszłą dzieli Towiański na 7 epok. Każda epoka ma swego mesjasza, który ma ludzkość prowadzić coraz dalej do Boga. Chrystus Pan był pierwszym mesjaszem. Przyniósł on na świat „Myśl, Wolę, Słowo Boże, ucieleśnił je, spełnił,” dając ludziom wzór do naśladowania, by mogli się stać doskonałymi. Chrystus więc sprowadził „Kolumnę światła.” Jednakowoż zbyt przeważają jeszcze ciemności, by „światło” mogło bezwzględnie zapanować nad światem. Dopiero kiedy ludzkość przejdzie już wszystkie siedem epok, kiedy mesjasze (a jednym z nich jest właśnie Towiański) doprowadzą człowieka do celu; wtedy — w siódmej epoce — „złe, poznawszy tak wielką siłę, ustąpi i wtenczas się podług Woli Boskiej ułoży.”

A któż to jest człowiek według towianizmu?

Człowiek jest to duch, który z woli Bożej został uwięziony w ciele, w materji.” A siłę i życie posiada tylko duch: im wyższy, czystszy jest duch, tem większa siła i życie. Jednakowoż przez łączenie się z ciałem, traci poniekąd te właściwości, które teraz zależą od osaczających człowieka duchów. O wpływ na człowieka toczą między sobą walki duchy jasne i ciemne. „Wedle dobrej lub złej woli człowieka, łączą się z człowiekiem i czynią przez niego duchy dobre lub złe.” Wszelki więc czyn człowieka nie jest jego własnym, lecz jest „w wielkiej części owocem duchów, działających przez niego.” Wszelako człowiek jest odpowiedzialny nie za sam czyn, lecz za to, „że połączył się z dobrym lub złym duchem.

Najgłówniejszą jednak zasadą Towiańskiego, która najsilniej nęciła naszego wielkiego wieszczą, która była, jest i zawsze pozostanie aktualną, jest myśl uszlachetnienia się człowieka czyli podnaszanie siebie do wyższego „tonu.” A dokonać tego można przez troistą ofiarę: ducha, ciała i czynu. Ofiara ducha polega na wyzbyciu się cierpkości, niecierpliwego usposobienia, na wzbudzeniu miłości itd. czyli na dostrajaniu ducha do takiego „tonu,” jaki „Chrystus okezał w całym życiu swoim.” A „popracowawszy szczerze w duchu, naprawiwszy, co tam (w duchu) się zepsuło,” przechodzi człowiek do ofiary ciała t. zn. podnosi (człowiek) ciało swe do tego samego „tonu,” na jakim znajduje się duch: ciało więc powinno być ożywione temi samemi uczuciami, które przenikają ducha. Kiedy już „wprowadziłeś ducha do ciała, kiedy zostałeś chrześcijaninem żyjącym, przechodź do ofiary czynu: składaj na ziemi owoce ruchu, życia tak ducha jak i ciała twego.”

Tę myśl umoralniania się winien każdy człowiek wprowadzać w czyn. Kto ofiary tej nie czyni, na tego Bóg zsyła cierpienia. Niekiedy Bóg karze człowieka za winy, popełnione w życiu poprzednim. Wierzy więc Towiański w metempsychozę. A jako taki nakazuje czcić każde zwierzę.

Jednakowoż to udoskonalanie się człowieka trwa przez długi szereg żywotów. Każdy prze-

znaczenie swe, wolę Bożą prędzej czy później wykonać musi; może jedynie przeszkadzać temu spełnieniu się Woli Bożej przez łączenie się z duchami złemi. Do ludzi Bóg nigdy nie przemawia bezpośrednio, lecz używa do tego duchów jasných; człowiek zaś, łącząc się z niemi, przyspiesza swe przeznaczenie.

Co do Polski, to wierzył Towiański, że jest ona narodem wybranym. Upadek zaś polityczny Ojczyzny uważał za słuszną karę za winy, a wyzwoleń jej widział jedynie w odrodzeniu moralnem obywateli t. zn., że muszą oni wypełnić troistą ofiarę. Przytem twierdził, że rychło nastąpi zmartwychwstanie Polski. Ale zanim to się stanie, wybuchnie wielka wojna. Polska odrodzona „stanie przed światem jako wzór chrześcijaństwa żyjącego, praktykującego się na polu politycznem, na którym dotąd żyło i praktykowało się samo najniższe pogaństwo i bałwochwalstwo.”

Dla krzewienia swych poglądów Towiański występował z listami do różnych osobistości tronowych, między innymi do cara Mikołaja, domagając się od niego uznania nowego objawienia. To było powodem uszczuplenia się koła towiańczyków. Wystąpił bowiem w listopadzie 1844 roku Słowacki, którego już od dłuższego czasu pozyskano dla „sprawy Bożej,” a wraz z nim także wielu innych. Również między Mickiewiczem a Mistrzem Andrzejem nastąpiło pewne rozluźnienie stosunków z powodu różnic zapatrywań na sprawę Polską. Nie zrażony niczem, propagował Towiański nadal swoje teorie, zyskując coraz to nowych wyznawców zwłaszcza Włochów, którym przepowiedział losy nieszczęśliwej ich ojczyzny. Najzaszczytniejsze miejsce w tym czasie zajmuje Tancredo Canonico, który po śmierci Mistrza zebrał pisma jego i wydał je zbiorowo w Turynie w 1882 roku.

Obecnie najwybitniejszym towiańczykiem jest profesor Wincenty Lutosławski, najwybitniejszy znawca Platona, jeden z największych polskich filozofów.

Eugenjusz Golus.



Znakomici synowie Wielkopolski.

Wspomnieć pragnę po krótko imiona i dzieje tych, których wydała ziemia wielkopolska ku sławie Polski. Kilka okruców, kilka przypomnień. Niech postacie one będą wzorami zacnego, obywatelskiego życia.

Janko z Czarnkowa, syn Bogumiła, wójta z Czarnkowa, teolog, kanonik poznański, archidjakon gnieźnieński, osobisty przyjaciel Kazimierza

Wielkiego został w roku 1365 podkanclerzem. Napisał kronikę, obejmującą czas od 1333 do 1385 roku. Jest to rodzaj pamiętnika, pisanego dorywczo, po łacinie.

Zmarł w roku 1386.

Jan Ostroróg, syn wojewody poznańskiego, najuczciwszy i najbardziej postępowy człowiek czasu, wykształcony zagranicą, doktor obojga praw, polityk i znakomity socjolog, poseł na dwory zagraniczne, wróg Krzyżaków, pragnął widzieć silną władzę króla i równość prawa. Zasady swe wyłuszczył w dziele p. t.: „*Monumentum pro Reipublicae ordinatione.*” Tezy jego brzmią:

1. Władza świecka jest władzą państwową, władza papieża — regulatorem życia duchowego: wobec tego Polską rządzi król, a nie papież.
2. Polska nie powinna ponosić ciężarów na rzecz skarbu papieskiego.
3. Polska jest państwem narodowym i samodzielnym, przeto powinna mieć własne, jednolite dla wszystkich stanów prawo państwowe. Domaga się więc zniesienia prawa magdeburgskiego.
4. Żąda specjalnej opieki nad handlem i rzemiosłem polskiem.

Zasady Ostroroga poczęły dopiero w XVIII wieku wchodzić w czyn.

Klemens Janicki, syn chłopca, urodził się w Januszkowie pod Żninem w 1515 roku. Nauki pobierał w akademii Lubrańskiego, gdzie poznał go Krzycki (urodził się niedaleko Wschowy) biskup dyplomata i poeta i zabrał na swój dwór.

Piotr Kmita wysłał go do Włoch. Tu szeroko zasłynął z daru poetyckiego, a papież Klemens VII obdarzył go wieńcem laurowym. Poeta laureatus nie był szczęśliwy, trapiła go wodna puchlina, na którą zmarł mając 28 lat. W spuściznie zostawił elegje, epigramaty i epitalamium na wesele Zygmunta Augusta. Część jego twórczości przetłumaczył Syrokomla.

Sebastjan Klonowicz, urodził się w Sulmierzycach pod Odolanowem, wielce wykształcony, bawił zagranicą, jest jednym z największych satyryków Polski. Osiedlony w Lublinie dorobił się wielkiego majątku, piastował urzędy miejskie, był burmistrzem lubelskim. Pisał po łacinie i po polsku. Najcelniejszych utworami jego są: „*Roxolania*,” „*Victoria deorum*,” „*Flis*,” i „*Worek Judaszów*.” Umarł w 1602 roku.

Samuel Twardowski (1600—1660) urodził się w Skrzypni pod Pleszewem. Wyższego wykształcenia nie otrzymał. Bywał na dworach magnatów, jeździł z Krzysztofem Zbaraskim do Turcji, był w orszaku króla Władysława IV, a mając umysł bystry, przelewał swe obserwacje na papier i tak powstały: „*Satyr na twarz Rzeczypospolitej*,” „*Nadobna Paskwalina*,” „*Przeważna legacja księcia Zbaraskiego*,” „*Władysław IV*” i „*Wojna domowa*.”

Jakób Wujek, znakomity teolog, kaznodzieja i pisarz religijny, był synem ławnika z Wągrówca. W roku 1563 wstąpił do zakonu Jezuitów. Założył dla nawrócenia Siedmiogrodu kolegium w Koloswarze. Był rektorem poznańskim i wileńskim i przełożonym professów w Krakowie. Odznaczał się niezwykłą skromnością i pokorą, był człowiekiem wielce uczonym, napisał wiele dzieł po łacinie i po polsku, a do dziś dnia słynie z doskonałego tłumaczenia Pisma św. Umarł w 1597 roku.

Wojciech Bogusławski, twórca teatru polskiego, aktor i autor, urodził się w Glinnie pod Poznaniem w 1757 roku. Służył wojskowo, poczem w 1778 roku wstąpił do teatru. W 1783 został dyrektorem teatru warszawskiego. Z trupą swą wyjeżdżał do Wilna i Dubna. Dla repertuaru przekładał z włoskiego, niemieckiego, angielskiego i francuskiego. Napisał kilka oryginalnych utworów, z których najznakomitszym jest: „*Krakowiacy i górale*.” W 1811 roku założył szkołę dramatyczną w Warszawie. Dawał przedstawienia po wszystkich zakątkach Polski. Zmarł 1829 roku.

Stanisław Staszic, jedna z najbardziej świetlanych postaci Polski, głęboki umysł, wielkie serce był synem burmistrza z Pily. Kształcił się zagranicą w Lipsku, Getyndze i Paryżu. Za namową matki przywdział sutannę. Droga dla urzędów była dla mieszczańskiego syna zamknięta. Andrzej Zamojski polecił mu wychowanie dzieci swoich. Przepędził tu 20 lat. Zaoszczędziwszy sobie sporo pieniędzy, kupił starostwo hrubieszowskie, zajął się włościanami, podzielił ziemię na równe działki i oddał ją chłopom. Był jednym z założycieli Tow. Przyjaciół Nauk i popierał je materialnie, zakupując mu zbiory, ofiarując własny księgozbiór, budując gmach — oraz moralnie, radą i umysłową pracą. Nie było żadnej dziedziny nauki, którąby się nie zajmował. Szczególnie poświęcił się geologii, owocem tego była praca: „*O ziemiorodztwie Karpatów*.” Pragnął stworzyć wielki przemysł i handel polski. Budował więc fabryki, szczególnie wyrobów metalowych i ceramicznych, huty i kopalnie. Założył w Kielcach szkołę górniczą, a w Warszawie szkołę mostów i dróg. Udzielał pomocy garnącej się do nauki młodzieży. Był jednym z najbogatszych ludzi w Polsce i największym filantropem. Przed śmiercią (1826) poczynił liczne zapisy. Staszic posiada też stałe miejsce w polityce polskiej (był ministrem stanu) i w literaturze dzięki dziełom swym: „*Przestrogi dla Polski*,” „*Uwagi nad życiem Andrzeja Zamojskiego*” i „*Duch polski*” (poemat).

Jan Śniadecki urodził się w Żninie w 1756 roku. Uczył się w akademii Lubrańskiego, akademii krakowskiej, studjując szczególnie fizykę i matematykę. Zwiedził Holandję i Francję, gdzie słuchał Laplace'a. Wrócił do kraju w 1781 roku i wykładał matematykę w akademii krakowskiej. W 1784 roku zwiedził Anglię, zapoznał się z u-

rzędzeniem obserwatorjum Herschla, aby założyć podobne w Krakowie. W 1803 zwiedził Włochy, a w 1809 roku objął katedrę astronomji w Wilnie. Zmarł w 1830 roku. Pozostawił kilka dzieł między innymi: „O Koperniku,” „Jeografię czyli opisanie matematyczne i fizyczne ziemi,” „Trygonometrię kulistą” i szereg innych dzieł filozoficznych.

Jędrzej Śniadecki, urodzony w Żninie w 1768 roku, kształcił się w Trzemesznie i w Krakowie. Poświęcił się studjom lekarskim. W 1791 roku wyjechał zagranicę do Niemiec, Włoch i Anglii, gdzie pogłębił swe wiadomości w medycynie, chemji i fizyce. W 1796 otrzymał katedrę farmacji w Wilnie. Wykłady jego należały do najlepszych. Był członkiem Tow. Szubrawców i ostotnim jego prezesem. Napisał doskonały podręcznik p. t.: „Początki chemji” oraz większą pracę: „Teorja jestestw.” Wady społeczeństwa polskiego gromił w satyrach, zwłaszcza w „Próżniacko-filozoficznej podróży po bruku.”

Karol Libelt, syn szewca poznańskiego (1807 do 1875) kształcił się w Poznaniu i Berlinie, gdzie słuchał Hegla. Brał czynny udział w powstaniu, zaco siedział w więzieniu pruskim. Zajmował poważne stanowisko w życiu politycznym i społecznym Wielkopolski. Był prezesem „Koła Polskiego” i „Tow. Przyjaciół Nauk” w Poznaniu. W roku 1843 ogłosił rozprawę „O miłości Ojczyzny,” w której miłość ku Ojczyźnie ujmuje ze stanowiska filozofa. W rok potem ukazała się jego rozprawa: „O odwadze cywilnej,” a następnie: „System umnictwa czyli filozofji umysłowej” i „Umnictwo piękne czy i estetyka.” Libelt miał równocześnie wykłady o estetyce w pałacu Działyńskich (Tytus Działyński zbierał cenne materiały historyczne i muzealne w Kórniku), gdzie wykładali również Wielkopolanie — Jędrzej Moraczewski historję Słowian i Antoni Melecki, poeta, publicysta, historyk, krytyk literacki, tłumacz dzieł obcych i filozof — literaturę. Zmarł Libelt w roku 1875, żegnany z żalem przez społeczeństwo wielkopolskie, a szczególnie lud, który bardzo umiłował i w majątku swym Czeszewie obdarzył szerokimi swobodami.

Karol Marcinkowski urodził się w Poznaniu jako syn szynkarza. Kształcił się w Poznaniu, następnie, jak większa część młodzieży wielkopolskiej owych czasów, w Berlinie. W roku 1823 otrzymał doktorat medycyny. Wróciwszy do Poznania, rozpoczął praktykę i rychło zyskał rozgłos znakomitego lekarza. Już wtedy poświęcał siebie i większość dochodów dla biednych. Doprowadził do rozkwitu „Szpitala Sióstr Miłosierdzia,” zaprowadzając tam najnowsze urządzenia. Słynął Marcinkowski przedewszystkiem jako badacz cholery. Kiedy w Kłajpedzie wybuchła cholera, udał się tam dobrowolnie, by zapobiec żywiołowi. Niedbał o siebie i tak dalece się poświęcał, że wzbudził podziw u Niemców, a Magistrat Kłajpedy obdarzył go dziękczynnym adre-

sem. W kilka lat potem wyjechał do Paryża, a w roku 1833 otrzymał złoty medal „Królewskiej Akademji Nauk” w Paryżu za badania nad cholera. Po powrocie do Poznania wybudowano za jego inicjatywą Bazar dla poparcia handlu i rzemiosła polskiego. On założył też istniejące do dziś dzień „Tow. Pomocy Naukowej” celem wspomagania niezamożnych a uzdolnionych uczniów. Założył „Tow. Dobroczynności,” starał się o zapobieganie nędzy w kraju, był filantropem, społecznikiem, człowiekiem czynu.

Stanisław Szczepanowski, jeden z największych idealistów polskich, polityk, społecznik, publicysta, literat, przemysłowiec, urodził się w Kościanie. Po skończeniu szkoły średniej, wyjechał do Wiednia, gdzie kształcił się na inżyniera. W 1864 roku udał się do Francji i Anglii, gdzie pracował w ministerstwie dla spraw Indji Zachodnich. Przebywał tu 12 lat, ucząc się tego wszystkiego, co należało w kraju zaprowadzić. W 1873 roku zapoznał się z przysłowiową nędzą galicyjską, a chcąc jej zapobiec, postanowił stworzyć wielki przemysł. Założył pierwszą nowoczesną kopalnię nafty w Słobodzie Rungurskiej. Wkrótce rozwinął się przemysł naftowy nadzwyczajnie, bo Szczepanowski zyskał naśladowców, chciwych zarobku. Kopalnie Szczepanowskiego były urządzone idealnie (najwyższa płaca, kasa chorych, szkoła dla dzieci).

W obronie przemysłu przed rządem wiedeńskim walczył jako poseł w roku 1886, a po przeprowadzeniu odpowiednich ustaw dla ochrony przemysłu, wycofał się z życia parlamentarnego. W 1897 roku obejmuje redakcję „Słowa Polskiego” we Lwowie. Tu drukuje swe artykuły o odrodzeniu narodowym. Zasady Szczepanowskiego są następujące:

1. Odstrzynać się od trędowatych, nikczemnych lub obojętnych, a skupić się w grono, bijące jednym sercem i zdążające do jednego celu.
2. Wyznawać gorącą wiarę w triumf sprawy Bożej.
3. Wykształcić siebie samego na dzielnego szermierza idei narodowej.

W licznych pracach i przemówieniach stara się o wychowanie narodowe i o polepszenie stosunków w Polsce. Najważniejszym dziełem jego jest: „Nędza Galicji.” Pozatem opublikował szereg prac z dziedziny szkolnictwa i ekonomji.

Utraciwszy większą część majątku z przyczyny kierowników kopalń, zmarł w roku 1900 w Nauheim, pochowano go we Lwowie.

Edward hr. Raczyński, filantrop, historyk, założyciel „Biblioteki Raczyńskich” w Poznaniu, **ks. Samarzewski** i **ks. Wawrzyniak** założyciele „Banków Ludowych,” **Maksymilian Jackowski**, patron „Kółek Rolniczych,” **Maksymilian Piotrowski** z Bydgoszczy, profesor malarstwa w Królewcu, artysta-malarz o motywach historycznych, **Ignacy Prądzyński**, **Dezydery Chłapowski**, An-

drzej Niogolewski, oto nieliczni z licznych, zasłużonych synów Wielkopolski. A poczet ich zamykają dwa promieniejące świeczniki:

Stanisław Przybyszewski, urodził się w Łojewie na Kujawach w roku 1868, skończył gimnazjum w Wągrówcu. W Berlinie studjował sztukę i psychofizjologję. Pisał początkowo po niemiecku, a z chwilą objęcia czasopisma krakowskiego „Życie,” po polsku. Słynne są jego dramaty: „Śnieg,” „Odwieczna Baśń,” „Ślub,” powieści: „De profundis,” „Dzieci szatana.” Przybyszewski jest twórcą „Młodej Polski.”

Jan Kasprówicz urodził się jako syn chłopca w Szymborzu pod Inowrocławiem w roku 1860. Gimnazjum skończył w Poznaniu, studja w Lipsku, w Wrocławiu. Działal politycznie w czasie niewoli, za co odsiadywał karę więzienną. Zaliczony jest do naszych wieszczów narodowych. W roku 1891 wydał „Z chłopskiego zagonu,” w roku 1894 „Anima lachrymans” dalej „Krzak dzikiej róży,” „Hymny,” „Księga ubogich” i dramaty „Bunt Napierskiego” oraz „Ucztę Herodjady.” Przetłumaczył szereg dramatów literatury klasycznej i nowożytnej. Zmarł jako profesor uniwersytetu lwowskiego w roku 1926 w Zakopanem.

Tyle wspomnień ku wiecznej pamięci.

Miled.



Szary dzień sztubaka.

Najdroższej Matce.

— ...Prawda, piękny widok? Słońce kryje wstydliwie rozognione swe czoło za mury kamienic, osłonięnych białą szatą śniegu, a za niem ślizgają się powoli promienie w kolorowych tęczkach. Podziwiałeś już kiedy zapadanie Heljosa?..... No, czas do lekcji!

— Tak, „panie psorze.”

„Pan psor” jest to gołowąs chudy, średniego wzrostu; twarz jego owalna, z zapadniętymi policzkami, blada, bez życia. Jedyne promienie wzroku, wychodzące z głęboko osadzonych oczu, dość silne i przenikliwe świadczą, że w ciele burzy się namiętna a złośliwa dusza.

W czasie lekcji „pan psor” przechadza się rytmicznym krokiem po salonie, wycierając buciska o miękkie, wzorzyste dywany, przystawając przed mahoniową szafą, zawsze otwartą, która szczerze każdemu pokazuje rzędy pięknie oprawionych, ozłoczonych książek, rzadko kiedy wymowianych, zakurzonych, bo nawet służąca nie śmie dotknąć ich miotką. Z rogu z pod okna wystaje prawdziwe zagraniczne pianino, którego białe klawisze, dotykane niekiedy jeszcze białszymi palcami, mącą miłą ciszę domowego zakątka. A na wygodnym, majestatycznie przy stole ustawionym fotelu siada „pan psor” z prawdziwą rozkoszą.

Tadek, również nikły jak jego nauczyciel, wierci się na krześle, jakby siedział na szpilkach; tak „korci” go jakaś zabawa. Myśli jego lecą zawsze do rozrywki, jak ómy do światła.

— Powtórz poraz dziesiąty tę regułę gramatyczną! Zdaje mi się, że nie masz wielkiej ochoty do nauki. Naturalnie, za pieniądze napewno kupisz butelkę rozumu! Ale mimo wszystko, paniczu, radzę ci zabrać się do roboty, bo...

— Nawzajem, nawzajem! — szybko odpowiada Tadek, którego twarz przybiera wyraz znużenia.

— Nie przerywaj ośle jakiś! Sądzisz, że masz głupiego przed sobą, co?

— A-a-a-a.

— Nie wypałeś się? Ziewasz? Biedak z ciebie! Tak dużo pałkujesz! Lituję się nad bezmyślną istotą, która potrafi tylko ulegać swym zachciankom! Świadczy to o twej woli. Pr.... proszę!

Do pokoju wchodzi matka Tadzia, kobieta wystrojona, dbająca o swój wygląd. Robi wrażenie mężatki dwudziesto-kilkoletniej. Jedyne lekkie zmarszczki na twarzy, widoczne mimo starannego ich usuwania, wskazują właściwy jej wiek. Wykwintne szaty wzbudzają w „profesorze” wstręt do jego łatanych spodni, podartej marynarki, do „wołających o pomstę” trzewików. W duszę „belfra” wdiera się zły wstyd, który szarpie uczucie miłości ku rodzicom, ku domowi. Nauczyciel nie śmie przybliżyć się do „damy,” która jest przecież jego krewną. Wreszcie z głębi płuc wydobywa się dziwnie brzmiący głos:

— Dawno, ciociu nie widzieliśmy się, a bywam tu codzień...

— Kiedy ja odbywam popołudniową drzemkę.

— Po trudnej nie-robocie! — przemknęło przez głowę „psora” — nam to po żmudnej nawet pracy nie wolno odpoczywać!

— Przynoszę ci przykrą nowinę — mówiła słodkim głosem, a na twarzy jej odmalowało się złowróżbne zawahanie. — Z powodu..... zmuszeni jesteśmy ograniczyć ilość lekcji do połowy, a zresztą Tadek nie można przemęczać.

— Ależ ciociu nie tak źle, nie trzeba się zbytnio przejmować błahemi rzeczami — odpowiada „pan psor,” któremu współczujący jej głos wydawał się sykiem jadowitych węzów.

— Cześć, a pozdrów Karola! — mówi Tadek do swego „profesorskiego” kuzyna, który, porwawszy płaszcz, czapkę, przeskakuje schody, pokryte wspaniałym kobiercem, by jak najprędzej wyrwać się z przeklętego domu.

Nareszcie znalazł się na ulicy. Słabe jego płuca z lubością wciągają świeże, zimne powietrze. Nogi bezwiednie kierują lichem ciałem przez ulice, oświetlone rzadkimi latarniami.

Lecz w nim wielki zamęt: myśli latają jakby szalone, wściekle.

Wstuchał się w odgłos zaciętej walki pod czaszką.

Kiedy wreszcie się to skończy? Gdy zamiary rodziców niespodziewanie się spełniły, był na stacji u staruszka, ponoć krewnego, który więcej niż potrzeba i niż go na to stało, opiekował się sztubakiem, udzielającym „laskawie” drugim wiedzy.

Nie powodzeń ojcowskich zerwała się, a opiekuna wzięli anieli do swego grona. Teraz, gdy jest w potrzebie, pozbawia się go wzniosłym gestem „korków.” Marzenie o nowych bucikach rozwiało się aż do wątpliwego odwrócenia się losu.

Może krewni znowu przyjmą go do swego stołu? Wszak udziela korepetycji kuzynowi. Nie! tej nadziei nie chwyta się. Dawali mu ochłapy na osobności, w kuchni, przez jeden tylko tydzień, a żeby go utulić w smutku po zmarłym krewniaku. I naraz jakoś ustalo to. Czy nie zasłużył na ten obiad i nieco kalacji? Czy może nie pomagał należycie w nauce „ich” dzieciom? A może miał lizać ich po rękach za nieszczerą strawę, której ubytku nie mogli odczuwać?!

Nie! to nie najważniejsza przyczyna! On, troskliwy ojciec Tacka, należy do rzędu tych ludzi, o których niejednokrotnie „psor” wspominał, deklamując piękne miejsce z Wergiljusza:

„aut qui divitiis soli incubuere repertis nec partem posuere suis (quae maxima turba est) inclusi poenam expectant.”

A może.... A może jakieś duchy sprzysięgły się przeciwko niemu i chcą żelazną swą wolą zmienić bieg jego życia? Natenczas nigdy nie wróci do niego szczęście, o ile nie wytworzy w sobie takiej woli, by móc nią przełamać siłę swych nieprzyjaciół nieznanych, czy też niewidzialnych i przywrócić przeszłość.

Wszystko się w nim napina. On nie ustąpi; Niech zwróca ku niemu wrogie swe czoła wszystkie duchy, cały świat, on podniesie rzuconą rękawicę walki i potykać się będzie na śmierć i życie. Zwycięży lub zginie! Czuje, słyszy jednak zwycięską pieśń swej duszy. Widzi pokonanych swych wrogów, błagających o litość i....

* * *

Niemasz to jak życie sztubaka, kiedy mu nie brak „korków,” bo i na buty go stać i na galerję do teatru, a — co najważniejsze — nazywają go „panem psorem.”

E. N. G.



Wlecze się jesień.

Ludomirowi Wachowiakowi.

W szary bladawy świt, w zamglony poranek, w mroczny wieczór i ciemną głuchą, rozdeszczoną noc, po drogach rozkiśtych, w lepkiem błocie, po koszlawych brukach małomiasteczko-

wych, po asfaltach, szosach, po ostępach leśnych, po ornych polach i zdradnych topieliskach, po szerokiej ziemi — wleciesz na chudych nożyskach koszmarną swą postać, sunąc bezszelestnie, jak upiór, po cmentarzysku w chłodną, wietrzną noc, kiedy rankiem rozkwitłe kwiaty zgęły głowy do ziemi, przytuliły się trwożnie, jakby wstydzając się swej niemocy i bezradności, a na mokrej, śliskiej gałęzi wierzbowej ostatnie liście szemrały pozgonne zieleni i kwieciu...

Snuje się chwiejna, ciemna postać po świetle...

To twoja twarz? Wyblakła ci skóra na gębie, wykrzywionej zjadliwą boleścią, napiętnowanej zgryzotą zawistną. Sine, wąskie, popękane wargi odsłaniają bezwstydnie kilka rzadko osadzonych, złotych zębisk, upstrzonych rdzawymi plamami i ciemniejszą, cuchnącą otchłan, aż po czczą gardziel.

W czarniawych kołach oczodołów, ponad wystającymi, kościstymi policzkami jarzy się dwoje ślepi. Straszne są. Błyszczą jak zielonawe ogniki na czarnej łące, gdzie jeno w piątki czarownicy harce wyprawiają.

Czemuś smutna?

Bo troska wyziera z pooranego skibami udręki — czoła? Bo strumyczki płyną po zacierwionym nosie, strumyczki ciepłych łez?

Zatańcz sobie skakanego, niech skrzypią wiązadła nóg, niech chybotce — się głowa, niech wszystko ustąpi, bo idziesz, bo walisz jurnie, zamaszysto, dziarsko!...

A ty się wleciesz, jak godzina niepokoju, chlapiasz stopami po błocie, grzęzniesz w kałużach, dyszysz, rżęzysz jakby o zlitowanie — prosząc.

Zlituj się w swej srogości!

Potargane, zmierzwiłone zwoje brudnych kudłów, mokrych od dżdżu, rozwianych wichrem, szkieletowymi dłońmi krzewów rozczesanych, złociwem liścia zdobnych, srebrną nicią pajęczą omotanych, spadają w pękach na szyję i plecy przygarbione.

Nie garb się!

Wlec się musisz, jak oracz za pługiem, jak człowiek za zwodniczem szczęściem, jak wieczysta krwawa męka za rodem ludzkim.

Dlaczegoś nie — pękata, otyła, rumiana? Czemuś wyschła? W zanadrzu dźwigasz owoc wczorajszego, słonecznego żniwa.

Nażrej się! Zapchaj gębę, miel jęczorem, trzej zębami, tykaj łapczywie, aże tchu ci nie stanie! Poco się szamoczesz, co dźwigasz? Rzuć! Nażrej się! Rzuć! Rozpuść zgrabiałe kikuty palców — Nie możesz? — Rozłóż zastygłe w bezruchu ręce, napół omdlałe, zimne!

Leż po błocie! Kto ci kazał, kto? Leż sobie, bo ci czas! Ludzie przy piecu pokaszlują, dla ciebie niema ciepłego kąta.

Otuliłaś nikłą swą postać strzępiastym łachmanem, łatendo, powsinogo, ładaćol! Deszcz tnie zielonawą gębę twoją, a ty szczerzysz zęby i dyszysz. Głupiał Trza raz było zaspać i nie przyjść! Słysz?! Po włosach strugi dżdżu cieką ci za kark, wicher, sługus twój, łachman chce zedrzeć z twego chudego cielska. Nie daj! Okryj się uczelniej, aż po szyję, drzysz... żebra obręczami ci z boków wystają, a siadź-że sobie, odpecznij...

Łazisz po mieście. Dostyć tutaj... gdzie się wspinasz? Na płot? na ławkę?—Łobuz z ciebie! Czego się to zachciewa babinie?! Nie swawol! Idź ulicą! Wiatr zrywa ostatki liści i sypie je pod twoje nogi, unosi w powietrze, by potem jeszcze niedbalej rzucić na chodniki. W rynsztokach gniją liście. Buty mieszczuchów depczą liście. Miotyły zgarniają je na kupy, a wiatr rozrzuca...

Przejrzałaś się w kałuży, w oknie wystawowym, w szybie małego okienka, w suterenie, gdzie szewczyna buty naprawia od rana do nocy. — Ładnaś?

Z mokrych bruków na pola, z gwaru miejskiego w pustkowie bezлюдne! No, idź! Zagrmij dudnieniem szatańskich wichrów, drzewa wywracaj, chałupy rozdzieraj, rycz, bij, szalej!!

A nie wlecz się!

Pokaż moc swoją, zmusz poddanych do lęku, do płaczu i prośb. Niech się skarżą na chłód, na słotę, na ciemno... Jesień idzie, jesień...

O pani smutku, płaczko wstrętna, królowo pieśni ponurej, wszechwładczyni szarug, strażniczko spleśniałych magii, żafosna postanku wrogiego jutra, nieprzyjaciółko słońca, mgłami otoczona, stąpająca z wysiłkiem po zimnym, zeszerzniętym kobiercu ziemskim.

Jesieni... Królewska żebraczko, okryta strzępami, niosąca w zanadrzu twardy kęs chleba!... Jesieni, która posiadasz urok groźny, i gonurą melancholję.

Wlecz się jesień... wlecz... wlecz...

L. M. Dereżyński.

Moja przejażdżka tramwajem

(Wypracowanie szkolne.)

Przesunął się przez Stary Rynek, drepząc jak przekupka przy straganie, zatrzymał się u wylotu Mostowej, poczem ruszył dalej, piszcząc i zgrzytając niemilosiernie kołami. Byłem rad, że mnie unosił i odrazu nabrałem śmiałości do tego rodzaju środków lokomocji, do tramwajów.

Patrzałem przez zapłakane szyby. Przed oczyma migwały mi obrazy, co chwila inne. Nietylko podziwiałem dwunożne istoty, ciepło odziane, śpieszące się, biegające, a zwane — ludźmi. Doskonałe typy na małej scenie ży-

ciowej. Ruchliwe to wiele mówiące stworzenia. Lecz pociągały mnie również ciemno-szare ściany domów, lśniące okna wystawowe, które rzuciły blask na wąskie chodniki, na ciemną plamę bruku, pokrytego udeptanym i zbłoconym śniegiem.

Tramwaj poruszał się wolno, bojąc się widocznie, by nie potrącił którejś z blisko stojących kamienic. Jeszcze wolniej jechał po moście, przeglądając się z boku w wodzie, jednym okiem, jak piękna pani w lusterku, chcąc stwierdzić, czy róż nie stał się z policzka. Słuchał bełkoczącej wody u młynów i poszumu drzew na wysepkach. Zauważył prócz własnego odbicia szerokie szmaty światła lamp nadbrzeżnych, szklista, czarna powierzchnię Brdy, którą wiatr lekko marszczył i pobudzał do drgań błyskliwych. Wreszcie zatrzymał się.

Ludzie wsiadali i wysiadali. Siedziałem, gapiąc się na tę, to na oną stronę.

Po chwili był znów w biegu. Ominął kościół Klarysek, piękny, silny, wrosły w ziemię szerokimi stopami, podobny do krępego, barczystego zapaśnika. Zauważyłem na zegarze, zazwyczaj źle chodzącym, że była ósma.

Z lewej strony lunął nań gwałtowny potok światła. Jarzyły się okna. Na chodnikach pełno ludzi, od Klarysek do Dworcowej ścisk. Jakie stroje, suknie, buciśi, szminki, pudry... Czy to zakład artystycznego malowania? Nie. Rewja mód? Też nie. Więc co? — Przechadzka. Nie powiem jednakże, że spacerują tu ludziska spracowani, lub mający jeszcze jakieś sprawunki do załatwienia. Może zresztą... kto wie...

Zatrzymał się mój lotny i skrzypiący pegasz, nie przerywając wcale tokowi myśli, cisnących się bezmiarem do głowy. Znowu dzwonki i jędrze. Minął rząd samochodów. Nie przejął go krzyk nadzierającego się gazeciarza. Spoglądał naprzód ślepiami lamp, jakby kalkulował, ile mu staje drogi i cieszył się, że do Śniadeckich dojedzie przy jasności, a potem trochę poomacku.

Ciemność go prawie ogarnęła, niekiedy przerywana przeblaskiem światła. Migwały ciemne, rozczochrane drzewa, kładące swe dziwaczne, pokrzywione cienie na bruku ulicznym. Snuł się gdzieś gdzieś zbląkanym przechodzień. Ulicę zajęł czarowny, cichy półmrok, niby płaszcz miły i utulny, przynoszący zapomnienie, sen, cichość i logę.

A Gdańską pędził tramwaj. Kolebał się trochę, podskakiwał, dzwonił szybami, przeszkadzając układającym się właśnie do snu obywatelom.

Coraz to bardziej pustoszeje ulica. Patrzę na szarość przez okno tramwaju i gonię myślami szybciej, wolniej, pomieszanie.

Wysiadłem, acz niechętnie. Głowa mi ciężła. Zdawało mi się, że jadę, lecę, pędzę... I, jakby kto gwóźdź wbił, zatrzymuję się. Śnieg począł padać wielkimi płatami.

Jechałem... pędziłem...

Mieczysław Dereżyński.

Historia - magistra vitae

(Bigos historyczny)

Gajusz, Juljusz Cezar, generał Francuzów
Zbił na Szwederowie krakowskich łobuzów,
A prezydent miasta, był w nim wtedy Nero,
Za ten czyn waleczny ożenił go z Herą.
Piękna Afrodyta wyborem zrażona,
Udała się na skargę do Napoleona.
Ten gdy ją zobaczył zawołał z zapamiętem:
„Veni, vidi, vici—wroga pokonałem!
Podać mą kasztankę, ta klacz jest najlepsza.
A wtem, Zagłobie nagle zabrakło powietrza;
Więc pchnął nożem do tyłu, do przodu, na boki,
Ale ujrzał go zaraz Hektor bystrooki,
Ryknął, niby tur dziki, lecz go Bohun chwycił
I chyłkiem między jazdą do swoich przemycił.

Hannibal wódz polski, rosyjski poddany
Poszedł razem z Szelą różną szlachtę i pany.
Straszne były czasy. Lecz gorzej bywało,
Kiedy Bem Grenadę obległ z siłą całą;
A Kara Mustafa wielki wódz Krzyżaków
Szedł z wojskiem Murzynów na Alpy przez Kraków
Chiński bej, Skrzynecki z jazdą numidyjską
Uderzał wytrwale na armję rosyjską,
Ale lewe skrzydło parę przez Helwetów,
Zwiało bez sandałów, łuków i bagnotów,
Jak młodzieniec, ze szkoły pełen wiedzy wszelkiej
A w nauce historii przedewszystkiem wielki.

Historyk.



Sen o morzu.

Promienie słoneczne jeszcze raz przed spoczynkiem figlarnie mrużąc oczy, przejrzał się w lustrze fal, i upewniwszy się w swej urodzie, ułożył się do snu na powierzchni morza, jak na łonie dobrej piastunki. A ono kołysając je śpiewało smutną i monotonną pieśń. Lecz morze to niby zła macocha. Skoro tylko ujrzało, że dobre słońce usnęło, porwało je za włosy i wrzuciło na dno. Zarychotał z radości zachodni wiatr, szarpnąwszy się raz i drugi, zerwał łańcuch, w którym był przywiązany, aby ludzi nie krzywdził i zleciałszy spiesznie z Jastrzębiej Góry, pobiegł wybrzeżem, gwiżdżąc przez zęby hultajską piosenką i przejmując wszystkich swoim mroźnym, przejmującym oddechem. Na jego wezwanie wtoczyły się na niebo ciężkie, ołowiane chmury, zaciemniając świat. Zanościło się na burzę. Morze zbierając siły, przygotowywało się do ataku.

Nagle rzuciło się ze wściekłością, uderzając o brzeg, jak gdyby chciało całe je zgnieść, porwać i rozerwać na sztuki. Tłucze się z pianą na ustach o nadbrzeżne skały, szarpie się w brzegach, nie mogąc wyrwać się z koryta. To znów

podstępnie, jak wąż wysuwa swoje uządlone języki na brzeg, szukając ofiary, a gdy jej nie znalazło, pluje z sykiem na ziemię.

Szarpie się jak zły, głodny, oszalały pies, który nie może zerwać łańcucha i dlatego wścieka się w swej bezsilności. To znowu krzyczy lub płacze jak niegrzeczne dziecko, gdy mu się czegoś odmawia. Aż przestraszyły się swej matki wszystkie ryby i trwożnie schowały się na dno. Morze już ostatkami sił goniło, szarpnęło się jeszcze parę razy jak ryba na piasku przed śmiercią, ale widząc, że nie da rady, uspokoiło się, jęcząc od ran, jakie otrzymało w ataku na ostre skały.

Tymczasem z za chmur, które popłynęły na wschód, ukazał się nocny włóczęga, księżyc. Spojrzał na świat, a widząc, że wszystko jest spokojne, uśmiechnął się złośliwie do morza, jak gdyby chciał rzec: „A nie mówiłem, nie dasz rady”? Zanicpokojony o los biednych ryb, wysłał promienie swoje w głębinę, na zwiady. A potem puścił się na dalszą przechadzkę po niebie, patrząc zmrużonym okiem na wszystko i zaglądnijac wszędzie.

K. Łakota.



Nad Brdą wieczorem.

Noc tumanami miasto spowiła.
Cicho swe fale niesie stara Brda,
Wśród rzędu domów prawie się zgubiła,
Tylko powierzchnią śliską lekko drga.

Patrzę i widzę: lekko toń jej drży,
Lampy nadbrzeżnej światło na nią pada,
Pryska, rozkrzewia się i blaskiem skrzy...
Brdą mi coś szeptem, coś mi opowiada.

Sunie zygakiem, przewala się, kręci,
Od brzegu po brzeg swe cielsko rozwała,
Lśni jaśnią grzbietu—ciemnymi kroplami,

Mknie żywo, sunie, porywa i nęci,
Woła szelestem cicha brdziana fala—
Płynie spokojnie: Ją gonię myślami.

Mieczysław Dereżyński.



Samolot współczesny i jego rozwój.

Już od najdawniejszych czasów człowiek starał się ujarzmić powietrze. Marzono więc o przypięciu człowiekowi skrzydeł, o maszynie podobnej do spirali i wrzynającej się w powietrze (Leonardo da Vinci), o zbudowaniu sztucznego ptaka itp.

Wszystko to jednak były próby, konstrukcje nieziszczalne, słowem utopje.

Pierwszym wynalazcą, który pchnął lotnictwo na nowe tory i którego aparat wykonał szereg udatnych lotów, był Niemiec Lilienthal. Od tego czasu t. j. od 1891 roku przypada szybki rozwój lotnictwa. Bracia Wrightowie, Amerykanie, po udoskonaleniu swego szybowca, zastosowali motor samochodowy, poruszający śmigło i w roku 1903 przelecieli 260 m. a 1905 39 klm. W roku 1909 przelatuje Francuz Bleriot na swej maszynie kanał La Manche, a Farman pobija rekord długości 229 km.

W następnych latach konstruktorzy pracują wytrwale nad udoskonaleniem aparatów aż do wybuchu wojny światowej.

Tu okazało się dopiero w całej pełni, jak wielkie znaczenie ma lotnictwo. Badanie stanowisk nieprzyjacielskich, niszczenie ważnych środków komunikacyjnych, bombardowanie miast, oto główne jego zadanie.

Dzisiaj, gdy czas i przestrzeń są prawie pokonane, czego dowodem przelot przez Atlantyki Lindbergha z New-Yorku do Paryża, a Polaka kap. Orłińskiego z Warszawy do Tokio, widmo wojny jest stokroć straszniejsze. Polsce zaś, leżącej między Niemcami a Rosją, państwami, w których wysoko jest rozwinięte lotnictwo, przedewszystkiem ono zagraża.

Obrona przeciwlotnicza składa się z czynnej i biernej. W pierwszej najważniejszą rolę gra lotnictwo myśliwskie i artylerja przeciwlotnicza, w drugiej zapory powietrzne i maskowanie.

Ważnym też czynnikiem jest zachowanie się samego społeczeństwa w razie ataku nieprzyjacielskiego, którego to przygotowaniem zajęło się L. O. P. P., instytucja społeczna, wydająca broszury o lotnictwie, zarządzająca odczyty, budująca lotniska, kształcąca pilotów i mechaników itd.

Znaczenie lotnictwa polega przedewszystkiem na tem, że jest niezastąpione jako środek komunikacyjny i jak statystyka wykazała, obecnie zupełnie bezpieczne. Na polskiej bowiem linii powietrznej pasażerskiej nie było od czasu jej powstania jeszcze ani jednego wypadku śmiertelnego.

Wspomnieć należy także o tem, że samolot komunikacyjny może w kilku godzinach być zamieniony na acroplan niszczycielski, wojenny.

Oprócz tego istnieją samoloty sanitarne, które przewożą w nagłych wypadkach chorych, potrzebujących szybkiej pomocy lekarskiej np. nagła operacja. Używa się ich w walce z szkodnikami jak np. szarańczą przez rozpylanie trucizny itp. W Polsce wyniszczono w ten sposób sówki (owady) w puszczy Tucholskiej, a w Ameryce komary, rozszerzające malarję.

Wielkie zastosowanie ma też przy badaniach topograficznych, meteorologicznych, fotografowaniu miast, linii kolejowych itd. i nawet w dziedzinie myślistwa i rybołówstwa.

Ogromne także znaczenie ma jako pomoc i środek lokomocji przy ekspedycjach naukowych,

badaniu nieznanymi krajów, do których niema dostępu, co okazało się przy ratowaniu gen. Nobilego.

W końcu zaznaczyć należy, że w państwie tylko o silnie rozwiniętym lotnictwie cywilnym może rozwinąć się lotnictwo wojskowe.

Jeśli więc jakiś kraj posiada doskonale wykształconych lotników, własne fabryki samolotów, dużo lotnisk oraz uświadomione społeczeństwo, to wówczas, na wypadek wojny, jest należycie przygotowany i w walce narodów bezprzeczenie może ubiegać się o palmę zwycięstwa — w przestworzach powietrznych.

Stefan Zawadzki.



Kilka słów o rozwoju matematyki.

Matematyka jest nauką najściślejszą ze wszystkich, opartą na pewnikach, zwanych aksjomatami, na twierdzeniach udowodnionych i regułach bez wyjątków. Uczy ona rozumowania jasnego i systematycznego. Ma wielki wpływ na charakter ludzki, mianowicie czyni człowieka ścisłym w wyrażaniu się czy postępowaniu, rozważnym, niezależnym. Dzięki niej rozpoznaje on w wielu wypadkach dokładnie granicę swego działania; reguluje ona cały tok życia, ułatwia pracę i każe ludzkości wyzbywać się kosztownych nęlogów i zgubnych naleciałości mody.

Jest jedną z najstarszych nauk, bo sięga bardzo odległych czasów Egipcjan i Indjan. Nad Nilem zrodziła się przedewszystkiem geometria, i to dla celów praktycznych. Nauką jeszcze nie była tak samo, jak zawiązująca się u Fenicjan arytmetyka. Dopiero Grecy, a mianowicie Tales w VII wieku przed Chrystusem formuje pewniki i ujmuje dotychczasowe wiadomości z tej dziedziny w pewien system. Do rozwoju tak geometrii jak i arytmetyki przyczyniają się jego znane twierdzenia. Nieco później około roku 540 przed Chrystusem znakomity filozof i matematyk Pytagoras, opierając się prawdopodobnie na własności t. zw. trójkąta egipskiego, wypowiada i udowadnia sławne swe twierdzenie, tyczące się wszystkich trójkątów prostokątnych, że kwadrat zbudowany na przeciwprostokątnej równa się sumie kwadratów zbudowanych na przyprostokątniach, zwane także „Inventum hecatombae dignum.” On to wprowadził matematykę w dziedzinę abstrakcji, co pchnęło ją na nowe tory i wpłynęło na niezwykły jej rozwój, a założycielowi „szkoły krotońskiej” zjednało sławę głównego twórcy tej nauki.

Grecy, jak Hypokrates z V wieku przed Chryst. i inni stwarzają różne teorie np. tyczące stożków, a szereg odkryć zwiększa znaczenie i powagę tej gałęzi wiedzy. Dlatego też Platon nad drzwiami swej szkoły umieścił taki napis: „Nikt tu nie wejdzie, jeżeli nie jest geometrą.” Trzecie

stulecie przed naszą erą jest niejako „wiekiem złotym” matematyki. Są to czasy trzech genjuszy: Archimedeza, Apolenjusza i Euklidesa.

Archimedes, sławny matematyk i fizyk, był najpotężniejszy z umysłów starożytności. Swą oryginalnością i wszechstronnością, stwarzaniem nowych pewników i metod zarówno w teorycie jak i praktyce wzbudzał i do dziś jeszcze budzi podziw. Jemu zawdzięczamy obliczenie „ π ,” kwadratury koła, powierzchni i objętości kuli itd. On to już stwarzał początki jednej, bardzo ważnej gałęzi nauki matematycznej, z którą świat naukowy zaznajomił się w XX wieku.

Archimedesowi nie wiele ustępował Apoloniusz, zwany „Wielkim Geometrą” albo „Geometrą w całym tego wyrazu znaczeniu.” Pisał podobnie jak Archimedes wiele dzieł, z których się jednakże prawie nic nie dochoowało (także dzieła Archimedeza zaginęły). Badał on szczególnie elipsy i hiperbole.

Wszystkie podówczas znane pewniki, twierdzenia i teorie z dziedziny geometrii w naukowy sposób zebrał Euklides w swem monumentalnem dziele „Elementach,” przełożonem prawieną wszystkie języki. Geometrię euklidesowską wykłada się po dziś dzień w szkole, wszelako z pewnemi dopelnieniami. Założył on sławną „szkołę aleksandryjską,” a jeden z jej uczniów, Eoratestenes obliczył w dość znacznem przybliżeniu wielkość ziemi.

Za czasów Hipparcha z Rodosu około 150 roku przed Chryst. rodzi się trygonometria. Twórcą systematycznej trygonometrii jest Ptolomeusz z II wieku naszej ery; znajdujemy ją w dziele p. t.: „Almagest.” Dopiero jednak Arabowie posunęli znacznie naprzód tę gałąź matematyki i obliczyli tablice funkcij naturalnych.

Po tym czasie znać zastój w rozwoju matematyki. Dopiero około IV wieku Diophantes wynalazł algebrę i dał początek pracom, które ciągnęły się nieprzerwanym łańcuchem aż do Eulera i Lagrange. Europejczycy uczą się od Arabów i niebawem przewyższają ich, aby Albateniusowi, Ebu-Jonisowi i Alhazenowi przeciwstawić Regera, Bakona, Purbacha, Regiomontanusa i wreszcie sławnego Kopernika, który obala do jego czasów istniejący pogląd na świat Ptolomeusza i dowodzi w dziele: „De revolutionibus orbium coelestium” podwójnego ruchu ziemi (używając do obliczeń funkcij trygonometrycznych i je rozważając). Z rozwojem kultury i nauki również matematyka wzbogaca się w nowe odkrycia np. logarytmów przez Nepera (XVII wiek) i w zawile kombinacje. Zdobycze swe zawdzięcza w głównej mierze nieśmiertelnym genjuszom: Galileuszowi, Decartezjuszowi, Leibnitzowi i Newtonowi. Znakomici badacze, żyjący w wieku XIX: Gans, Łobaczewsky, Rieman i wielu innych, stwarzają nowe geometrie, odznaczające się logicznością, nie mniej jednak wyzbyte prostoty i jasności „Elementów,” których braki niejedni uczeni uzupełniają np. niemiecki uczony Hilbert w „Podstawach geometrii” daje zupełny system pewników.

Najdawniejszą polską książką, traktującą o geometrii jest: „Geometria, to jest Miernicka Nauka po polsku krótko napisana z greckich i łacińskich ksiąg. Naydziesz też tu jako naszy miernicy zwykli mierzyć mienie na włóki albo łany. Item iugerum romanum, jako wiele ma w sobie. Item jako wieżę, albo co inszego wysokiego zmierzyć, albo dalekość jaką etc.” Stanisława Grzepskiego, profesora Akademii krakowskiej. W średnich wiekach sławę znakomitych matematyków zyskują sobie Miaskowski i Kochański, a nieśmiertelny Kopernik reprezentuje godnie Polskę przed światem. W późniejszych czasach działa znakomity matematyk i astronom Jan Śniadecki i wielu innych.

Dzięki zdobyciom starożytnych i późniejszych matematyków i filozofów np. Mollweide’go, Pascala, Carnota, a także dzięki wyższej matematyce człowiek zdolny jest rozwiązywać najtrudniejsze zadania i zagadnienia z tej dziedziny.

Jan Żmudziński.



Pieśń.

*W nieodgadnionym, wściekłym życia gwarze,
Żyjesz mi blaskiem przedwieczornej zorzy,
Ty może nie wiesz, jak o Tobie marzę,
Chociaż mi świętaś, jak posłannik Boży.
Kiedy przychodzisz, by nawiedzić ducha,
A jam w rozpacz pokornie schylony,
Z czujną uwagą Twego głosu słucham
I piszę światu przez Ciebie natchniony.
Skoro przychodzisz, gdy płacze i wzdycham,
Nie rozweselisz mię ni razu przecie,
A kiedy w sercu jest światowa pycha.
Prędko wesołość i dumę mą gnieciesz.*

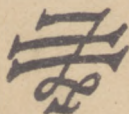
*O, bądźże mi Ty towarzyszką bytu,
Blaskiem wśród nocy, przewodnikiem we dnie,
Ty wskazuj drogę do jasnego świtu,
Ty mię ostrzegaj niby strażę przednie.
Związałaś tylu wieczystymi słuby,
By Ci na zawsze wiernymi zostali,
Za Tobą poszli, by dążyć do zguby,
Lecz przy Twym boku do końca wytrwali.
A Ty ich wiodłaś, łudziłaś nadzieją,
Nęciłaś lauru nieśmiertelnym wieńcem,
Hen — na ustroniu ich kości bieleją,
Świat gdy wspomina, to mówi: szaleńce!*

*Poszli za czałem, za marą, za cudem,
Poszli schnąc zwolna, bo ogień ich trawił,
Poszli przez życia uciernioną grudę,
Świat im nic nie dał, chyba Bóg ich zbawił.
Poszli wpatrzeni w Twój obraz, pijani
Szałem, co serca ogarniał gorące;
Mówili do Cię: „Królowaś Ty, Pani,
Tyś jest nasz żywot, Tyś jutrenką, słońce.”*

*Głód ich mordował, zmatpienie ich żarło,
Ból skręcał członki i targał wnętrzności,
Płacz rozżalony, zaciskał im gardło,
A smutek ciągle w dusz głębiach ich gościł.*

*I mnie Ty nęcisz pokusą rozkoszy,
I mnie Ty wabisz — o Wieszczo przekłeta! —
Oh, nie! — Szalonym! — Szał własny mię płoszy,
Jam Twój poddany, Tyś Wielka, Tyś Święta.*

Antoni Szwarzenzer.



List do przyjaciela.

A mon ami George Villaren.

Przyjacielu!

Znów Ci opiszę kilka przeżyć, zdarzeń, refleksyj. Najpierw chodzi o zdrowie. Klucie pod lewą łopatką i w lewej piersi nie ustaje wcale. Niech je sobie spokojnie gruzlica toczy. Serce też trochę mocno w nieporządku, ale to mi potrzebne zapewne do życia, jak aktorowi oklaski. Oczywiście nic sobie nie robię z gadania lekarza, jednakże wierzę, że lekarstwa jego pomagają mi, bo mniej kaszlę, a słaby jestem tylko z raną, w południe i pod wieczór.

Żyję zresztą jak trzeba. Nie mam „korków,” lecz pracy po same gardło. Dużo leżaniny, ciągle brak mi czasu — z wyjątkiem przerw chorobowych — to też nie będę miał czasu zemrzeć, chyba żebym umarł. Niegdys bałem się dwóch rzeczy: kominiarza i śmierci. Dziś nie lękam się ani jednego ani drugiego, zato mam „pietra,” gdy zapomnę nauczyć się słówek, albo zrobić zadania. Miałem dotychczas dużo na głowie, lecz pozbyłem się nieco balastu, ściągwszy włosy aż do samej skóry.

Przechadzam się zdrowotnie po ulicach miasta, właśnie kiedy zapada mrok, całkiem przypadkowo, przyczem los pozwala mi nieraz na urozmaicenie nudnego nieco żywota. Nieraz to i się uśmiechnę z niezwykłego jakiegoś zdarzenia, nieraz zamyszę się, nieraz podumam o dawnych lepszych czasach. Dobrze też, że mieszkam w Bydgoszczy a nie w Warszawie, bo tu bezkarnie mogę na ulicy się wycharchlać. Los przytem łaskawy nie szczędzi taniego widowiska. Wczoraj jeszcze widział coś, co nie prędko zagubię w pamięci.

Chłopczyk maleńki prowadził pijaniutkiego ojca swego, który kłął, pluł, zataczał się, marmolił na syna pod nosem i bił po twarzy. Chłopak prowadził go od samochodu do samochodu, prosząc szoferów, by odwieźli go z ojcem do domu. Niema głupich! Obdartus, pijanica —

pewno nie zapłaci... Śmiali się tylko, kpinkowali, a chłopiec zrażony, zaniepokojony o ojca, począł płakać. Ostatecznie znalazł się szofer, młodzik, który, warjacko zakręciwszy samochodem, ominął policjanta, wjechał na deptak, cofnął się i puścił pędem — jak chłopak mówił — „na Belzką.”

Życie stara się być interesujące....

Onegdaj przejechał wóz z węglami „Antka od sąsiadów,” całe szczęście, że przejechał mu jeno po nodze. Przyszedł do domu sam. W śródstopiu mięso wystąpiło nazewnątrz z żyłami innymi. Krew pociekła na brudną podłogę izby. Wszedłem — inni mdleli i uciekali — zostałem, nogę włożyłem do miednicy, z której niemyte talerze wyjąłem, wody nalałem, nogę obmyłem... Matka moja obwiązała ranę lnianą szmatą. Pogotowie go wzięło do szpitala, policjant spisał protokół, bo łobuz za węglami latał i z woza je ściągał do worka.

Przedwczoraj przyleciała do nas właścicielka domu z wielkiem wyrzekaniem, bo to nie jej wina, że powiesił się robotnik, co u niej pracował. Młody był. Dwadzieścia wiosen liczył. Kiedy go wypędzili, poszedł szukać pracy. Nie znalazł. Matka go wypędziła precz. Kazała mu pracę znaleźć. Jeść mu nie dała, wyzwała. A on zgorzkniały wyszedł i w sadzie pod oknem matki się powiesił.

Szczerą prawdą. Wiesz, klamać nie lubię, chyba w żartach.

Życie jest interesujące niekiedy.

Jeno widzowie zobojeźnieli

Skończę już.

Ściskam Cię

Twój przyjaciel

Zez.



A jednak...

*A jednak coś się budzi,
Coś czasem w sercu płacze,
Lub każe kochać ludzi,
Lub czarnym smutkiem kracze.*

*A jednak, choć zaklinam,
Że nie chcę znać uczucia
I nigdy się nie zginam,
Lecz sam zadaję klócia;*

*To jednak zawsze w głębi
Kłam myślom swym zadaję,
I gdy mię smutek gnębi,
Łzom gorzkim upust daję.*

*Bo nie wiem dokąd dążyć,
Co tworzyć mam, jak działać?
Wciąż kiepskie rymy wiążę,
By w nich sam siebie łajać.*

Kazika.



Nasze Koło.

Idąc za wzniosłymi hasłami „Filomatów Wileńskich,” grono starszej młodzieży Państwowego Gimnazjum Klasycznego w Bydgoszczy założyło 4 marca 1923 r. „Kółko Filomatów,” którego celem było: bliższe współżycie młodzieży dla wspólnej nauki i pogłębienia wiedzy szkolnej. Na protektora „Kółka” uproszono p. prof. dr. Stanisława Pelińskiego, który do dziś dnia gorliwie zabiega o rozwój „Koła,” nie szczędząc czasu i mozołu, by wychować młodzież nie tylko umysłowo, lecz przygotować ją także do życia społecznego i pracy organizacyjnej. Cieszy się zato zasłużoną sympatią całej, bezwzględnie młodzieży. „Kółko” rozwinęło się od pierwszych chwil pomyślnie. Po dwu latach jego istnienia wyłoniła się z „Kółka” nowa organizacja o tym samym charakterze, co uprzednia, pod nazwą „Kółka Filomatów,” a stąpiły się w niej siły młodszych klas. Z tą chwilą „Kółko” przyjęło nazwę „Koła Filomatów. Po roku nastąpiło zlanie obu towarzystw w jedno. W zarządach „Koła” na założeniu, aż do tej pory, zasiadali następujący koledzy: Kończal, Pajor, Szeszycki, Splitt, Chabowski, Fabianowski, Taczak, Szymański, Darnowski, Krakowski, Morawski, Urbański, Lechowski, Lewandowski, Kazimierz, Miklasz, Kłoniecki, Plutowski, Redlarski, Duszyński,

Goździk, Feuer, Kowalski, Grajek, Szwarzenzer, Dereżyński, Galewski M., Szweda, Komorowski, i Iwicki. Obecny zarząd jest jedenastym z kolei. W maju 1928 roku przystąpiono do Związku Towarzystw Tomasza Zena w Poznaniu i z tą chwilą podzielono towarzystwo na sekcje, których jest obecnie cztery: literacka, historyczna, dramatyczna i fizyko-matematyczna. W zarządach sekcji pracowali dotąd koledzy: Płoszczański, Grajek, Łakota, Iwicki, Januszewski Hieronim, Grus, Madaliński, Goździewicz. Zebrania sekcji odbyło się 24. Referatów i prac oryginalnych wygłoszono 21.

Zebrania plenarnych „Koła” odbyło się do dziś dnia 192. Referatów wygłoszono 130. W auli odbyło się kilka uroczystych zebrań ku czci Staszica, Libelta, Kasprowicza, Wyspiańskiego i dwa „Poranki ku czci Trzech Wieszczów.” Ogłoszono konkurs literacki. Założono „Składnicę Filomacką” dla zaopatrywania młodzieży w przybory szkolne. Ilość członków „Koła” wahała się między liczbą 13 (za pierwszego zarządu) a 60. W czasie pięcioletniego istnienia swego przesunęło się przez szeregi „Koła” około 300 młodzieży. „Koło” posiada własną bibliotekę i własny lokal. Obecnie wydaje „Jedno dniówkę” własnymi siłami i w znacznym nakładzie (1500 egzemplarzy), którą, jeśli dozna należytego poparcia ze strony społeczeństwa, zamieni w kwartalnik.

Tak przedstawia się mniej więcej działalność Koła Filomatów T. T. Z. w ciągu jego z górą pięcioletniej egzystencji. Zapal młodzieńczy, pomoc ze strony przełożonych, a szczególnie opieka i wspomaganie „Koła” na każdym kroku przez pana dyrektora Dr. Stanisława Stróżewskiego, dają pewność, że nasze ukochane „Koło” rozwijać się będzie jak najpomyślniej.



Wydawca: Koło Filomatów (T. T. Z.) przy Państwowym Gimnazjum Klasycznym w Bydgoszczy.

Za redakcję odpowiada: Mieczysław Dereżyński.

Za Administrację: Antoni Szwarzenzer.

Warunki ogłoszeń: 1/1 strona 100 zł, 1/2 60 zł, 1/4 30 zł, 1/8 15 zł.

Adres Redakcji: Koło Filomatów przy Państwowym Gimnazjum Klasycznym, Bydgoszcz, Plac Wolności 4.

Bydgoska Grafika, Józef Stefanowicz, Bydgoszcz, Plac Poznański 3.



K. 1232/52

KSIĘGARNIA SKŁAD NUT Jan Idzikowski

Telefon 12-60

BYDGOSZCZ

Gdańska 16-17

Bracia Bazańscy

Zjednoczone Księgarnie na Pomorzu

BYDGOSZCZ — GRUDZIĄDZ — TORUŃ

BYDGOSZCZ

ulica Gdańska nr. 13 — Telefon nr. 581

Polecają wielki wybór nowości beletrystycznych i książek dla młodzieży
oraz podręczniki szkolne i dzieła naukowe z różnych dziedzin.

KSIĘGARNIA i SKŁAD PAPIERU

„ŚWIT”

właściciel: Zdzisław Zdebski

Tel. 1169 BYDGOSZCZ Śniadeckich 50

Poleca w wielkim wyborze:

książki szkolne, beletrystyczne i naukowe, przybory szkolne i kancelaryjne,
papiery rysunkowe krajowe i zagraniczne, papiery kolorowe i tektury.

Oprawa książek w własnym zakładzie.

Dom Towarowy Bracia Mateccy

tylko Stary Rynek Telefon 231

posiadając zcentralizowany hurtowy zakup, stał się popularnym, najtańszym źródłem.

Polecamy:

Przepisowe mundurki i czapki gimnazjalne.

Konfekcję damską, męską i dziecięcą
w kroju nie dościgniona.

Wyprawy pościelowe i bieliźniane
od skromnych do najwykwintniejszych.

OBUWIE

tylko renomowanych firm.

Dywany. Chodniki. Firany.

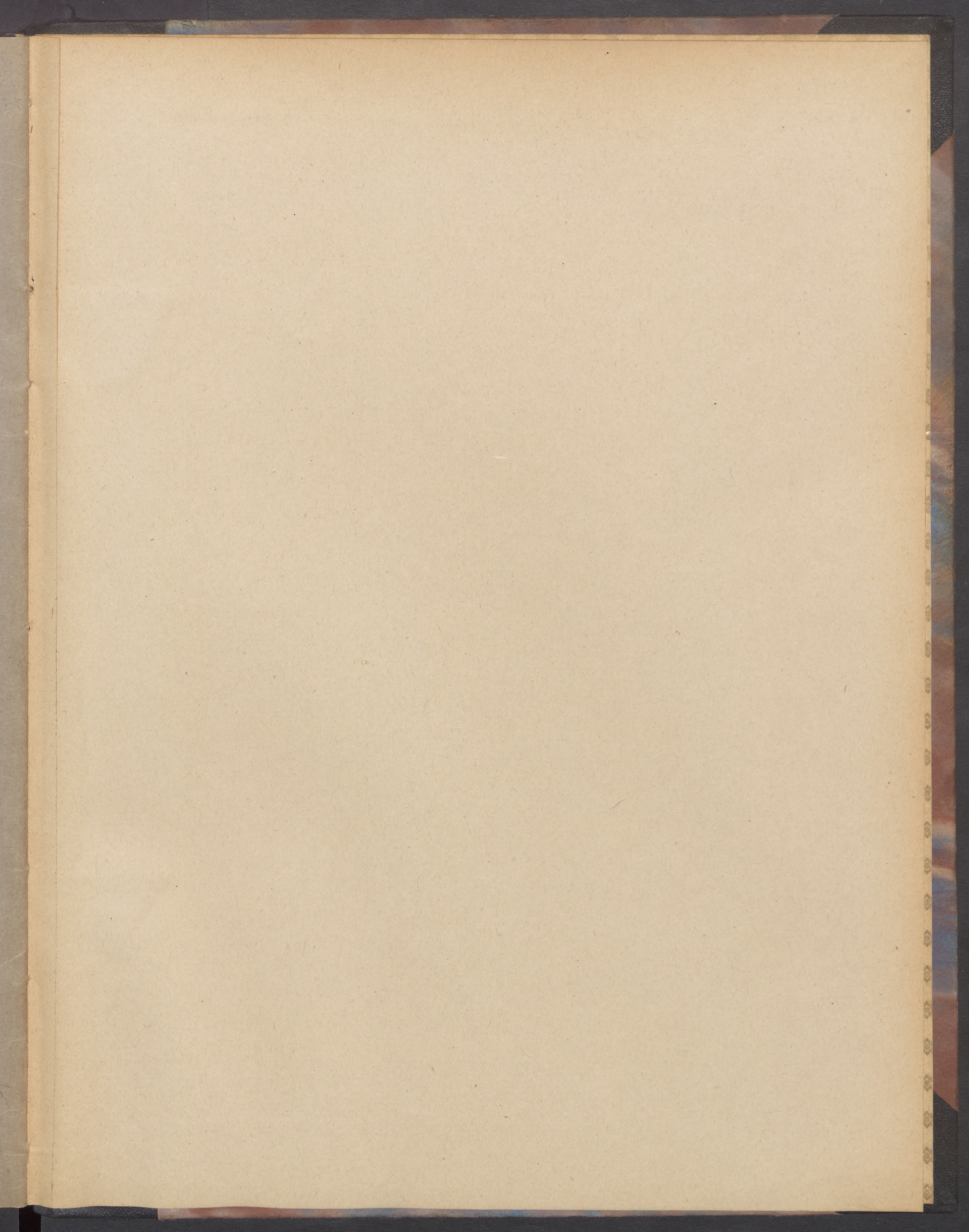
Materiały ubraniowe. Bławaty.

Jedwabie. Kapelusze damskie.

Wszelkie artykuły męskie. Galanterja.

Własny dział miarowy, szwalnia dla Pań, warsztaty kuźnierskie
i fabrykacja kółder wataowanych.

KROJE ULLSTEINA.

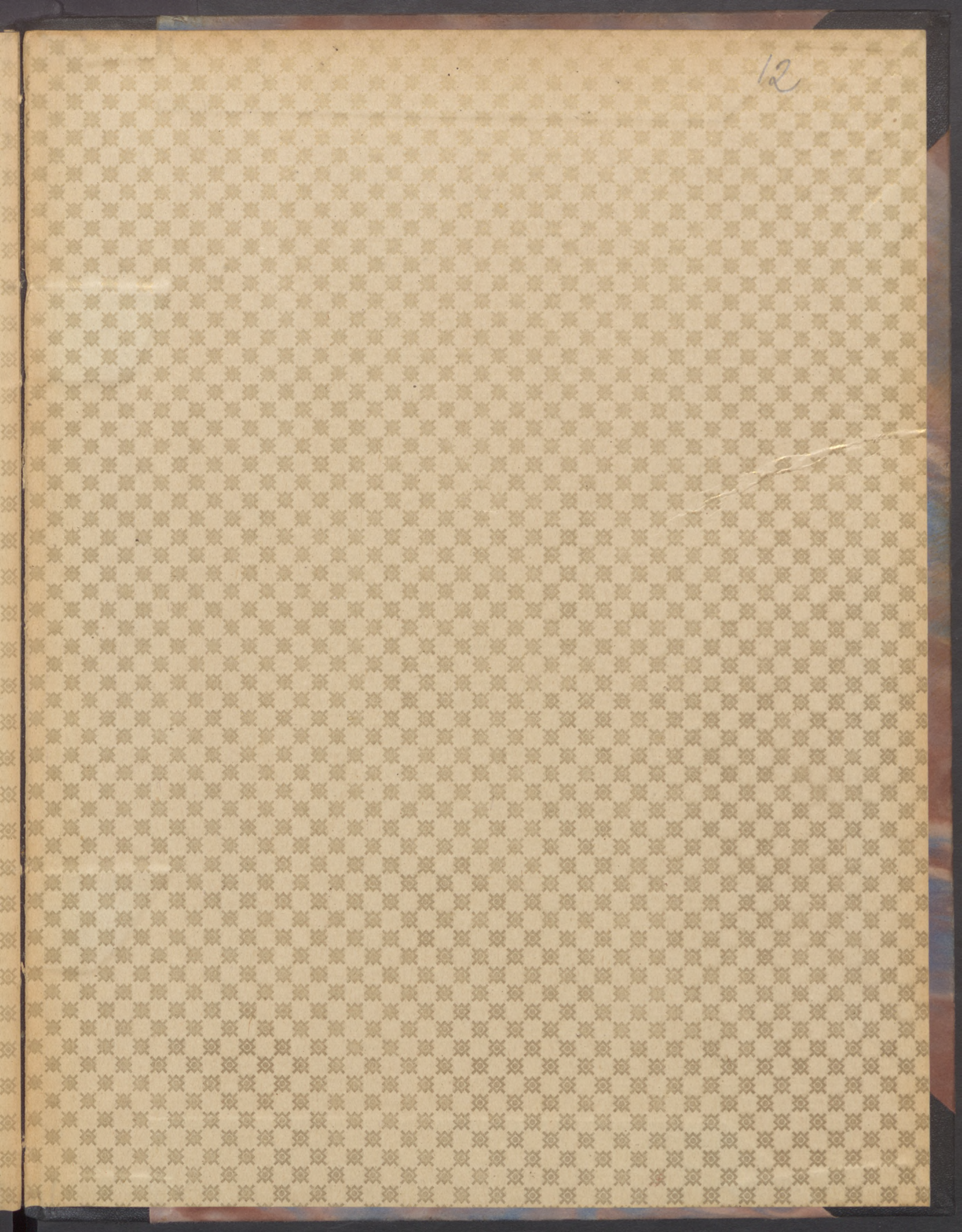


Biblioteka Główna UMK



300052120150

12



243 301

Biblioteka Główna UMK



300052120150